ŁÓDŹ AKADEMICKA
FOTOREPORTAŻ

dolarowy skok

FILM
TELEWIZJA
KSIĄŻKA

ODGŁOSY

ROK XIX, NR 39 (981) 23 WRZEŚNIA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

SONDA

CO PAŃSTWO SĄDZĄ O MŁODZIEŻY?

W dyskusji, którą niżej prezentujemy brały udział cztery osoby w wieku 50-60 lat, posiadające wykształcenie podstawowe oraz zawodowe. Dzieci naszych rozmówców są już samodzielne, większość założyła już własne rodziny, tak więc głosy, które tu padną, są chyba pewnym uogólnieniem formułowanym z pewnego dystansu do przedmiotu dyskusji.

Wyrażane tu opinie są w dużym stopniu reprezentatywne dla istotnej liczbowo grupy społecznej, której przedstawicielami są nasi rozmówcy.

— Podstawa to jest jak rodzice dziecko wychowają, jak rodzice dziecko nastawią do siebie, do rodzeństwa, społeczeństwa, do wszystkiego. Tu jest pierwszy punkt wychowania dziecka. Później jak ono dorasta, to zależy w jakim się znajduje towarzystwie, ale jeżeli to jest dziecko dobrze wychowane, to nie pójdzie drogą złą, a raczej prawidłową i dobrą.

Ja mam dwoje wnuczków i są dobrze wychowani, grzeczni, nie chuliganią, nie piją, nie latają po kawiarniach. Mówię, że rodzice są winni za złe wychowanie.

— Ja się na to nie zgodzę. Swojego syna Ty przed wojną wychowywałaś. Ja mam dzieci wojenne i wychowywałam je po wojnie. Teraz nie ma czasu na wychowywanie dzieci. Kobieta wychodzi z pracy, obłuczona sprawunkami, na które zmarnu-

Dalszy ciąg na str. 6

REPORTAŻ

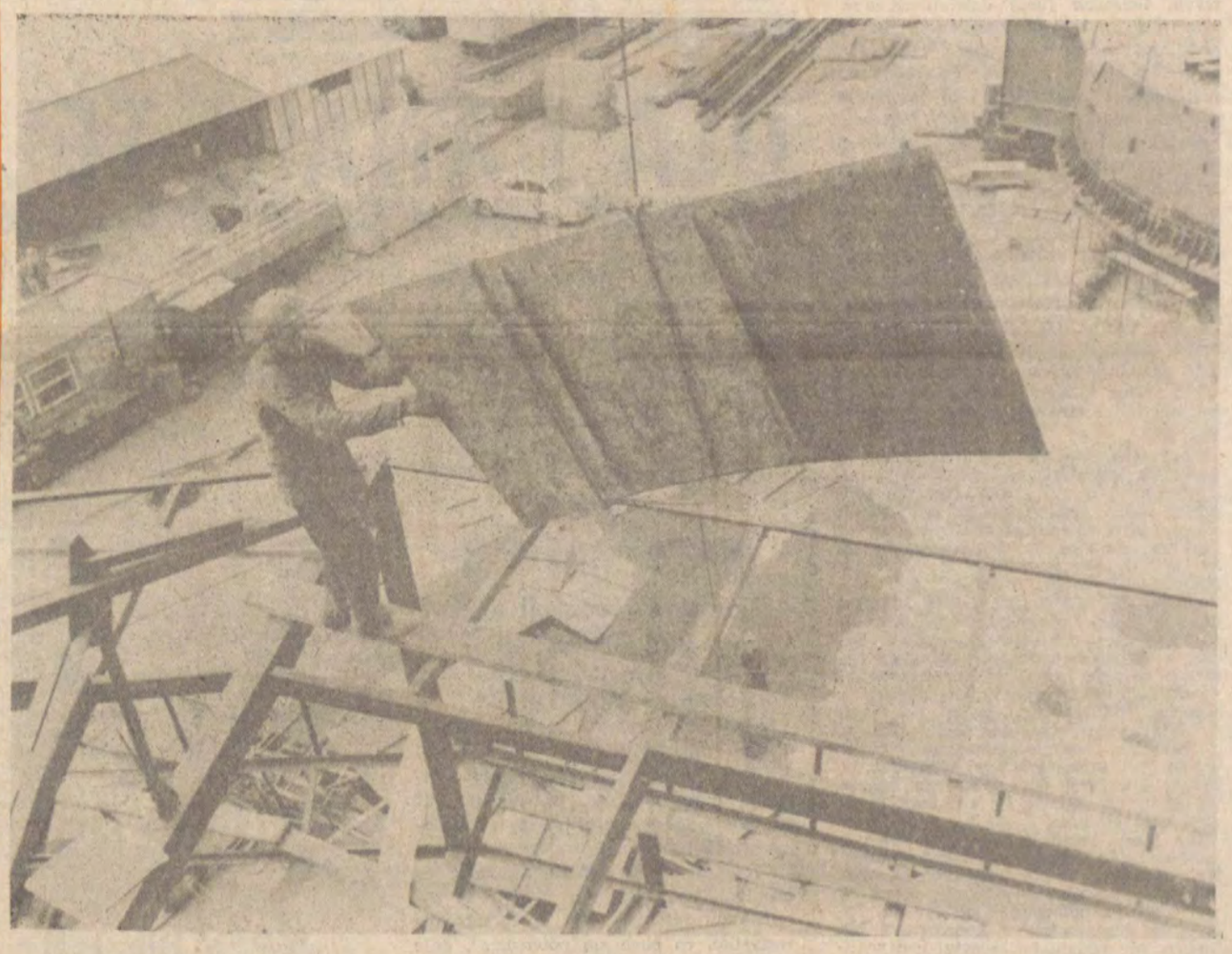

MAŁGORZATA KARBOWIAK

POZDROWIENIA DLA BEŁCHATOWA

PIĘĆDZIESIĄT KM OD ŁODZI, DWADZIEŚCIA OD PIOTRKOWA tylko w przedsiębiorstwach związanych z budową kopalni i elektrowni, nie licząc innych instytucji, które działały już wcześniej, zanim wybuchł wielki przemysł, pracuje sześć tysięcy ludzi. Oznacza to w praktyce, że nagle sześć tysięcy ludzi w jakiś sposób związało swoje życie z Bełchatowem, zachęcone tempem rozwoju i sławą wielkiej inwestycji, że porzuciły swoje Zielone Góry, podrzeszowskie wsie i Szczeciny, aby spróbować szczęścia tu, pięćdziesiąt kilometrów od Łodzi i dwadzieścia od Piotrkowa.

Znaczna część z tych sześciu tysięcy wywodzi się z niedalekich miejscowości. Siedemdziesiąt—osiemdziesiąt procent zatrudnionych dowożonych jest lub przyjeżdża sama — „osinobusami", autobusami, koleją z Łodzi. Pabianic lub pobliskich wsi. Oznacza to w praktyce, że Bełchatów dał im tylko miejsce zatrudnienia. Pozostali, ci, którym byłoby za daleko dojeżdżać codziennie, przebywają w Bełchatowie co najmniej sześć dni w tygodniu, nie licząc niedziel i świąt „wyjazdowych". To ci, którzy spędzają tu wolny czas, gdy zmienią ubrudzone pyłem węglowym lub cementem ubranie na świeżą koszulę.

Czy są więc bełchatowiakami „na całego", czy zdołali jakoś wrosnąć w ten nowy krajobraz i jaką szansę, nie tylko w sensie zarobkowym i możliwości awansu, dało im miejsce tak chętnie odwiedzane przez kronikę filmową. Każdy z nich stanął przecież któregoś dnia po raz pierwszy na miejscowym rynku, a potem, po jakimś czasie, zaczął mówić; u nas w Bełchatowie...

• • •

„Do Urzędu Zatrudnienia. Proszę mi napisać, czy można u was dostać pracę. I na jakich warunkach. Mam dziewiętnaście lat, nie skończyłem liceum, oblałem maturę, ale nadaję się do każdej pracy, oczywiście po przyuczeniu. I czy można szybko dostać mieszkanie. To bardzo ważne. Przez krótki czas mogę mieszkać w hotelu robotniczym, ale nie za długo, bo przyjedzie ze mną dziewczyna. Jakie są szanse dla kobiet? Proszę o szybką odpowiedź, bo mam sytuację krytyczną".

• • •

...Ewa Buczko pracuje w Zakładzie Usług Socjalnych przy ul. Czaplinieckiej 62, tam, gdzie dochodzi się przez góry piasku i błota, ale nie przeszkadza to jej wyglądać jak ze współczesnego filmu polskiego. Szara sukienka z dzianiny, marszczona przy dekolcie, a pod nią granatowy golf, granatowe

Dalszy ciąg na str. 7

20-LECIE ŁÓDZKIEGO OŚRODKA TELEWIZJI POLSKIEJ

Już dwadzieścia lat działa Ośrodek Telewizji Polskiej w Łodzi. Składając Jubilatowi gratulacje warto z tej okazji przypomnieć, że w ciągu tych dwudziestu lat obejrzeliśmy wiele przygotowanych przez zespół programów artystycznych, sportowych i publicystycznych. Oto liczby: widzowie Łodzi i całego kraju obejrzeli 371 spektakli teatralnych, 373 programów rozrywkowych, 221 muzycznych, 683 publicystycznych, 671 oświatowych, 175 młodzieżowych i 59 transmisji sportowych. Dorobek naprawdę imponujący!

W bieżącym tygodniu z okazji jubileuszu Łódź gościła na ogólnopolskiej antenie szczególnie często. W poniedziałkowym teatrze telewizji wznowione zostało widowisko Jerzego Wawrzaka „Patron dla bocznej ulicy". W piątek obejrzymy „Herbatkę z nieznajomym" w reżyserii Tadeusza Worontkiewicza, a w najbliższą niedzielę ukaże się na antenie reportaż Jerzego Katarasińskiego pt. „Szwejk".

Miłośnicy telewizji będą mogli także obejrzeć specjalną wystawę przygotowaną z okazji jubileuszu Łódzkiego Ośrodka w Muzeum Historii Miasta.

MICHAŁ WALCZAK

— naczelny redaktor Ośrodka TVP w Łodzi

Odpowiedzi na to pytanie mogą, a nawet powinny być różne. Z jednej strony jest to przecież moje miejsce pracy, pracy, której — mówiąc nieco patetycznie — oddaję najlepsze lata życia. Zaczynałem pracę w Ośrodku mając niespełna trzydzieści lat, a w tym roku przekroczyłem czterdziestkę. Z drugiej strony, pamiętać należy o tym, że telewizja jest instytucją niesłychanie zaskakującą. Choć przekroczyła już 20 lat ciągle poszukuje nowych, lepszych form działania, a co za tym idzie ponosi konsekwencje owych poszukiwań. Konsekwencje dobre i złe. Dobre, ponieważ zmusza człowieka do nieustannej nauki. Jest to instytucja nie znosząca sztampy i rutyny. Złą stronę ciągłej młodości naszej telewizji dostrzegam w tym, że pracując tu wciąż trzeba być przygotowanym na zmiany wszelkich ustaleń. Jednym słowem, jest to instytucja, w której nie można jedynie zaplanować sobie jakiegoś działania, a potem skoncentrować się na jego kontrolowaniu. Nigdy z góry nie można przewidzieć tego, czy za dzień, tydzień, miesiąc nie trzeba będzie szukać nowych rozwiązań. To zaś wymaga nie tylko ciągłego doskonalenia się, ale także odpowiednich predyspozycji.

Poza tym powiem panu szczerze, że telewizja jest dla mnie znakomitą szkołą życia, jaką stwarza kierowanie zespołem ludzi. Jest to dla mnie pierwsza praca jako samodzielnego kierownika tak licznego zespołu. I niech pan zważy, że jest to przecież niecodzienny zespół ludzi, bo też telewizja jest niepowszednią instytucją. Wśród dwustu pracowników Łódzkiego Ośrodka są ludzie prawie wszystkich zawodów. Sądzę, że gdybyśmy chcieli poszukać jakiegoś zawodu, który nie miałby odpowiednika w naszej instytucji bylibyśmy w kłopocie. Bo jest tu: cieśla, perukarz, rekwizytor, inżynier elektronik, malarz, dyrygent, redaktor, ekonomista, oczywiście jest także główny księgowy. W żadnej instytucji tego typu na końcowy efekt nie składa się aż taka mnogość różnych prac.

Dla mnie osobiście telewizja jest poligonem dla osobistych doświadczeń wynikających z faktu kierowania placówką, w której bardzo wiele zależy od właściwej współpracy wielu ludzi. Jeśli owej współpracy i koordynacji nie będzie, nie będzie także ostatecznego efektu. Wydaje mi się, że właśnie w telewizji widać najwyraźniej potrzebę wspólnej pracy.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

z-ca naczelnego redaktora d/s artystycznych

W telewizji pracuję zaledwie trzy lata. Dlaczego przeniosłem się do tej instytucji? Pracowałem przedtem w kinematografii, kierowałem zespołem, który zajmował się filmami o sztuce. Pewnego razu zauważyłem, że ramy kinematografii są dla mnie za wąskie. Uważałem, że powinienem przejść do większego ośrodka, który ma przede wszystkim większą widownię.

Teraz staram się przenieść na grunt telewizji te moje filmowe doświadczenia. Wiadomo przecież, że technika filmowa i telewizyjna, szczególnie obecnie, gdy coraz powszechniej posługujemy się magnetowidem, ma wiele wspólnego. Kontynuuję swoje zainteresowania, zajmując się programami artystycznymi. Na przykład głowię się obecnie nad sprawą znalezienia aktualnej formuły teatru telewizyjnego, nie tylko zresztą łódzkiego, a także nad tym, co nazywamy produkcją estradową. Myślę tu głównie o programach „Dobry wieczór, tu Łódź", „Uśmiech i piosenka" czy „Gwiazdy polskiej estrady". Czy przeraża mnie liczba tych obowiązków? Nie, nie przeraża, bo lubię pracować. Dlatego odszedłem z kinematografii, że tam robi się coraz mniej filmów o sztuce. Nie wiem czemu tak się dzieje. Po prostu można zauważyć w filmie polskim brak zainteresowania tym tematem.

Kiedy przyszedłem do telewizji, moim pierwszym wrażeniem była niesłychana improwizacja, która czasem jednak jest twórczą improwizacją.

JERZY KATARASIŃSKI

— kierownik redakcji publicystyki kulturalnej

Byłem przez piętnaście lat dziennikarzem prasowym, toteż telewizja jest dla mnie zmianą środków wyrazu, zamianą pióra na... no, właśnie na co? na studio, na kamerę filmową, na mikrofon. Po prostu w pewnym momencie poczułem, że chciałbym odejść od pisania. Oczywiście, nie całkowicie zarzuciłem pisanie. Ale przecież nie wszystko, co chce się powiedzieć, daje się zamknąć w artykule prasowym.

Chciałem także wzbogacić swój warsztat dziennikarski, a telewizja stwarza takie możliwości. Choć nie jest to proste i w tej instytucji. Kiedy przychodziłem do telewizji wyobrażałem sobie, że właśnie tu najłatwiej, najszybciej będę mógł „chwytać życie na gorąco". A to mnie interesuje, bo jestem przeciwnikiem inscenizacji. Nie jest to jednak łatwa sprawa przy tej jeszcze niedoskonałej technice telewizyjnej. Na przykład, zawsze musimy pamiętać o tym, żeby plan był oświetlony. Kiedy nie ma słońca, tego naturalnego światła, musimy używać sztucznego oświetlenia. Ludzie wtedy zaczynają się inaczej zachowywać, staranniej formułować zdania. Jednym słowem, zaczyna się inscenizacja. Trzeba wtedy użyć metod pozadziennikarskich, prawie reżyserskich, aby odwrócić ich uwagę od tego, co dzieje się wokół nich.

Pyta pan o to, czy rzeczywiście trudno przestawić się z dziennikarstwa prasowego na telewizyjne? Nie. Niezależnie od używanych środków wyrazu, dziennikarz musi być zawsze człowiekiem myślącym. To decyduje, a myśleć trzeba tu i tu.

MAGDALENA KUSZEWSKA

— kierownik redakcji widowisk telewizyjnych

Telewizja jest dla mnie bardzo interesującym nowym doświadczeniem. Przed telewizją pracowałam osiemnaście lat w radiu. Ogromna różnica. Przede wszystkim tam byłam publicystką, samodzielnym dziennikarzem, tu natomiast jestem raczej organizatorem cudzej pracy. W radiu za każdą audycję odpowiadałam samodzielnie, ode mnie przede wszystkim zależał efekt końcowy. W telewizji na realizację każdego programu składa się praca wielu ludzi. Począwszy od brygady sceny, a na naczelnym redaktorze skończywszy. W moim życiu zawodowym zaszła więc ogromna zmiana, która spowodowała, że przez ten pierwszy rok musiałam się intensywnie uczyć. I tu chciałabym wyrazić moją ogromną wdzięczność dla całego zespołu, który okazał mi wiele życzliwości. Nieczęsto się zdarza tak wspaniała atmosfera, jaka panuje w naszym zespole.

Początkowo przerażała mnie ta machina telewizyjna, choć przecież miałam o niej jakieś pojęcie. Przez pewien okres czasu mój mąż był naczelnym redaktorem działu literackiego TVP. Miałam więc możność obejrzenia kilku programów w trakcie realizacji. Ale telewizję można dopiero wtedy poznać, gdy samemu się w niej pracuje.

CZYM JEST DLA PANA(I) TELEWIZJA?

TADEUSZ WORONTKIEWICZ

— reżyser

Telewizja jest dla mnie miejscem pracy. Z nią związane są moje nadzieje, porażki i niepowodzenia. Przy czym jest to instytucja, w której olbrzymią rolę odgrywa zespół czynników technicznych. Mówiąc szczerze, telewizja jest obecnie na etapie początkowym. Gdy ogląda pan filmy nieme, czy też filmy polskie z okresu międzywojennego, to może pan mieć wyobrażenie o obecnym stadium rozwojowym telewizji. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest zły okres. Przeciwnie, wspaniały. Uważam jednak, że w najbliższym czasie ten zespół czynników technicznych zacznie się radykalnie zmieniać. Tu pierwszym krokiem był zapis magnetowidowy. Co będzie dalej? Może telewizja kasetowa, albo — jak się dzieje gdzie indziej — telewizja telefoniczna?

JERZY BINDER

— publicysta

Jestem dwadzieścia lat dziennikarzem, ale właśnie w telewizji znalazłem najpełniejszy kształt dziennikarskiego przekazu. Nie chcę przez to powiedzieć, że gorzej traktuję dziennikarstwo prasowe. Kiedy byłem dziennikarzem piszącym, odczuwałem również satysfakcję, ale tylko dlatego, że nie znałem telewizji. Telewizja stwarza bezpośredni kontakt z odbiorcą. Otrzymujemy wiele listów z interwencjami, podziękowaniami, z uwagami krytycznymi. Sam fakt, że zasiada się przed kamerą i ma się kilkusettysięczną widownię zobowiązuje i mobilizuje. Z telewizją zaznajomiłem się jeszcze na długo przed podjęciem pracy w tutejszym Ośrodku. Byłem wtedy kierownikiem działu miejskiego w „Dzienniku". Zorganizowaliśmy naonczas bardzo głośną akcję „czerwonych skrzynek", do których mieszkańcy łódzkich osiedli wrzucali kartki ze swoimi uwagami, postulatami. Następnie odbywało się spotkanie mieszkańców, redaktorów „Dziennika" z władzami. Łódzki Ośrodek Telewizji postanowił zaprezentować tę inicjatywę. I tak wraz z naczelnym redaktorem „Dziennika" znaleźliśmy się w studio telewizyjnym. Nie, nie miałem tremy. Chyba tylko dlatego, że nie miałem owej świadomości, iż program ogląda wielotysięczna widownia. Teraz zawsze towarzyszy nam napięcie. To chyba specyfika pracy w telewizji.

JANUSZ SIKORA

— naczelnik wydziału produkcji

W zasadzie telewizja dla ludzi, którzy zajmują się tym, czym ja się zajmuję, jest pierwszym domem. Średnio spędzam w Ośrodku około dziesięciu godzin na dobę. Jeśli doliczymy do tego godziny przeznaczone na sen, to na dom rodzinny niewiele pozostaje. Muszę panu powiedzieć, że jest to praca, która daje niesłychaną satysfakcję. Nie tylko zresztą dlatego, że jej efekty są bezpośrednio dostrzegalne na antenie. Może w skrócie wyjaśnię teraz czym się zajmuję. Przede wszystkim odtwarzaniem projektów scenograficznych i ich materialną realizacją. W praktyce wygląda to w ten sposób, że scenograf składa swoje projekty, a cała reszta należy już do mnie. Muszę odpowiedzieć na trzy podstawowe pytania: czy realizacja owych projektów jest możliwa, na ile i czy starczy czasu na ich wykonanie. I to ostatnie pytanie jest w naszym przypadku najważniejsze. My prawie zawsze pracujemy „na wczoraj", taka jest specyfika telewizji. A w ogóle to zamierzałem początkowo zajmować się czymś innym. Może właśnie projektować? Poprzestałem jednak na realizowaniu cudzych projektów i to daje mi ogromną satysfakcję. Pamiętać należy o tym, że każdy realizowany przez nas program jest inny. Niekiedy redaktor wymyśla jakąś karkołomną oprawę inscenizacyjną do prostego, publicystycznego programu. Wtedy wykorzystujemy wszystkie możliwości, aby zrealizować ten pomysł. Choć nie zawsze się to udaje. I to głównie z powodu wiecznego braku czasu. Na przykład, trzeba zbudować dom. Wiadomo, że w naszych studyjnych warunkach na zbudowanie domu trzeba trzech, czterech dni. Mam znakomity zespół który do każdej pracy podchodzi z pasją i z zaangażowaniem. Można obliczyć wydajność pracy każdego rzemieślnika, ale jak obliczyć prawdziwą pasję poświęcenie tych ludzi? Zresztą powiem panu, że w naszej instytucji bez tych walorów nie można pracować. Obecnie ja i cały mój wydział zajmujemy się nowym programem z cyklu „Uśmiech i piosenka". Tym razem będzie on poświęcony folklorowi węgierskiemu.

HENRYK WYSOCKI

— naczelnik wydziału realizacji

Odpowiem krótko: telewizja jest dla mnie domem. Tu nie ma określonych godzin pracy, właściwie musimy być w pogotowiu. Przyzwyczaiłem się do tego stanu jeszcze w czasie, gdy telewizja nadawała program na żywo. To była zupełnie inna technika, która wyrabiała w ludziach dyscyplinę, poczucie odpowiedzialności, koleżeństwo. A to są cechy, które nielatwo znikają. Poza tym praca w Ośrodku daje mi autentyczną satysfakcję. No i wcale niemałą szczyptę emocji. Tu trzeba panować nad wszystkim. Szczególnie wtedy, gdy zaprasza się do studia ludzi, dla których jest to pierwsze zetknięcie z telewizją. Właśnie im nie wolno pokazać, że coś nie wychodzi, że jesteśmy zdenerwowani. To wyrabia w człowieku opanowanie. A przecież nie brakowało w mojej i moich kolegów praktyce momentów rzeczywiście dramatycznych. Przypominam sobie taką historię. Robiliśmy wtedy dokrętki filmowe do „Wiernej rzeki". Zdjęcia kręciliśmy zimą nad brzegiem Pilicy. Pilica była oblodzona, płynęła po niej kra. Leon Niemczyk, znakomity aktor, grał Odrowąża i zgodnie ze scenariuszem przechadzał się brzegiem rzeki. W pewnym momencie lód pękł i pan Niemczyk znalazł się pod wodą. Stałem najbliżej, skoczyłem i jakoś pomogłem go wyciągnąć. Historia skończyła się szczęśliwie. Zapewniam pana, że takich przygód było o wiele więcej.

JADWIGA GRUZOWA

— koordynator programu

W telewizji pracuję już dwadzieścia lat. Przez te lata stała się ona moim drugim domem. Przeszłam w tej instytucji prawie wszystkie szczeble, pracowałam w jej prawie wszystkich komórkach. Obecnie jestem koordynatorem programu. To bardzo odpowiedzialna funkcja. Wiadomo, że większość naszych programów emitowanych jest z Warszawy. Muszę więc być w stałym kontakcie ze wszystkimi naczelnymi redakcjami. Druga sprawa to zapisy magnetowidowe. Na magnetowidzie utrwalamy nie tylko audycje, które idą w programie ogólnopolskim, ale także część lokalnych. To trzeba skoordynować, zamówić studio, magnetowid, montaż. Pracy jest sporo. Wolałam jednak telewizję sprzed „ery magnetowidowej". Praca była wtedy nieporównywalnie ciekawsza. Teraz każdy program można nagrywać kilkakrotnie. Zabrakło tego, co dawniej stanowiło czar telewizji. Zabrakło emocji.

KRZYSZTOF ŁOPALEWSKI

— realizator dźwięku i obrazu

Telewizja jest dla mnie całym życiem. Prywatnym, intelektualnym. Praca w telewizji jest dla mnie sprawą bardzo osobistą i w zasadzie nie wyobrażam sobie tego, że mógłbym zmienić pracę.

Kiedy przyszedłem po raz pierwszy do Ośrodka rozbolała mnie głowa. Od świateł i temperatury. Przez piętnaście lat nie mogę się przyzwyczaić ani do ostrego oświetlenia ani do wysokiej temperatury. Ale to są sprawy nieważne. Zaczynałem pracę w telewizji jako pianista i na początku wydawało mi się, że to będzie w Ośrodku moim głównym zajęciem. Skończyło się zaś na realizacji dźwięku, a ostatnio także obrazu.

Pyta pan o program, który dał mi największą satysfakcję? Chyba jest to cykl Henryka Czyża „Nie taki diabeł straszny", który realizuję w dźwięku i obrazie.

Rozmowy przeprowadził
MIROSŁAW KUŹNIAK

Z okazji 20-lecia Łódzkiego Ośrodka Telewizji Polskiej składamy Koleżankom i Kolegom najlepsze życzenia osobistej satysfakcji w pracy twórczej na rzecz dalszego rozwoju kultury polskiej.

Zespół „ODGŁOSÓW"

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

PAWEŁ PATORA

Chemia pomaga W ŻYWIENIU

Imponujący jest dorobek naukowy jedynego w Polsce Wydziału Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej obchodzącego właśnie jubileusz ćwierćwiecza swego istnienia. Tysiąc publikacji w krajowych i zagranicznych czasopismach naukowych, ponad pięćdziesiąt uzyskanych patentów, piętnaście podręczników i skryptów, ponad sto przewodów doktorskich i piętnaście habilitacyjnych — to liczby, które budzą szacunek i uznanie. Nie ma jednak takich liczb, które by odzwierciedliły różnorodność tematyki badawczej i wartość dokonań naukowych. Wspomnijmy tu choć niektóre z najcenniejszych osiągnięć.

Na Wydziale Chemii Spożywczej powstał silny, ceniony na całym świecie, ośrodek naukowy w zakresie cukrownictwa. Pod kierunkiem **prof. dr Stanisława Zagrodzkiego** w **Instytucie Chemicznej Technologii Żywności** (a poprzednio w Katedrze Cukrownictwa i Technologii Ogólnej Środków Spożywczych) opracowano wiele nowatorskich metod, technologii i konstrukcji dla przemysłu cukrowniczego. Prace dotyczyły m.in. maksymalnego wykorzystania surowca i produktów ubocznych, usprawnień w technologii produkcji, poprawy jakości cukru, zasad prawidłowego przebiegu kampanii cukrowniczej, a nawet niektórych zagadnień ekonomicznych związanych z produkcją cukru.

Na szczególną uwagę zasługują badania, które umożliwiły znaczne usprawnienie procesu wydobywania soków z krajanki buraczanej przy jednoczesnej poprawie jakości produktu. Opracowano też technologię oczyszczania soku cukrowniczego metodą ciągłą oraz skonstruowano odpowiednią do tego celu aparaturę, zastosowaną później w wielu cukrowniach, także w tych eksportowanych za granicę. Oczyszczanie soku cukrowniczego z wykorzystaniem tzw. wstępnej karbonatacji wdrożono już do praktyki przemysłowej w trzech cukrowniach. Obecnie trwają prace zmierzające do upowszechnienia tej metody w całym kraju, co umożliwi skrócenie kampanii cukrowniczej, dając oszczędności rzędu kilkudziesięciu milionów złotych rocznie.

ZNACZENIE ENZYMÓW

Interesujące osiągnięcie zanotował kierowany, przez **prof. dr hab. Edwarda Galasa** zespół naukowców z **Instytutu Biochemii Technicznej**. Opracował on nie znaną dotychczas w naszym kraju metodę otrzymywania tzw. ciepłostałej alfa-amylazy bakteryjnej. Jest to enzym o dużym znaczeniu przemysłowym. Zastosowanie go do produkcji syropu skrobiowego i glukozy krystalicznej pozwala obniżyć koszty wytwarzania, poprawić jakość produktu, nie wymaga korzystania z tak skomplikowanej aparatury, jaka była konieczna w technologiach tradycyjnych oraz nie powoduje powstawania produktów ubocznych. Zarówno syrop skrobiowy, jak i glukoza — to substancje poszukiwane przez przemysł; głównie cukierniczy. Alfa-amylazę, którą do tej pory trzeba było sprowadzać za dewizy z krajów zachodnich, stosuje się też w przemyśle piwowarsko-słodowniczym, włókienniczym, papierniczym i in.

W Instytucie Biochemii Technicznej wyselekcjonowano też kilkanaście szczepów pleśni, które potrafią wytwarzać enzymy ułatwiające rozkład celulozy i hemiceluloz. Stwarza to możliwość przemysłowego wykorzystania odpadów przemysłu rolnego i drzewnego takich, jak słoma, trociny itp., a także ułatwienia produkcji, przetworów owocowo-warzywnych (dżemów, soków) i innych środków spożywczych.

AROMATY POPRAWIAJĄ SMAK

W **Instytucie Podstaw Chemii Żywności** otrzymano cały szereg naturalnych i syntetycznych produktów zapachowych i aromatów spożywczych. Nowe substancje znalazły zastosowanie zarówno w przetwórstwie spożywczym (dodane do produktów wpływają m.in. na poprawę ich walorów smakowych), jak i w przemyśle perfumeryjno-kosmetycznym. Otrzymano też, wykorzystywany do wędzenia wędlin, ulepszony preparat dymu wędzalniczego, który nie zawiera substancji rakotwórczych.

POŻYTECZNE DROBNOUSTROJE

Liczne badania, dotyczące, m.in. wykorzystania drobnoustrojów dla potrzeb przemysłu spożywczego, prowadzone są w kierowanym przez **doc. dr hab. Helenę Oberman Instytucie Technologii Fermentacji i Mikrobiologii**. Otrzymane tu paciorkowce i pałeczki fermentacji mlekowej z powodzeniem zastosowano w przemyśle serowarskim, co pozwoliło poprawić jakość otrzymywanych serów oraz uprościć i przyśpieszyć proces technologiczny. Uzyskano też szczepy bakterii mlekowych wykorzystywane do produkcji masła wysokiej klasy i antybiotyku o nazwie „nizyna", wytwarzanego w kutnowskiej „POLFIE".

Obiektem szczególnych zainteresowań łódzkich chemików spożywców są drożdże — bogate źródło deficytowego białka. Dzięki zastosowaniu metod genetycznych otrzymano nowe szczepy drożdży piekarniczych, łatwiejszych w produkcji i znacznie aktywniejszych niż stosowane do tej pory. Porzekadło: „rośnie jak na drożdżach" oznacza: „rośnie szybko" — powiedzenie: „rośnie jak na drożdżach z Politechniki Łódzkiej" oznacza: „rośnie bardzo szybko". Inne szczepy drożdży uzyskane w PŁ, znalazły zastosowanie w przemyśle winiarskim i piwowarskim.

Szereg badań dotyczy otrzymywania drożdży paszowych z produktów pozarolniczych. Zespół kierowany przez **prof. Bolesława Bachmana** otrzymał, zawierające 50 proc. białka, drożdże z alkoholu metylowego. O szczegółach tego osiągnięcia informowaliśmy Czytelników w „Odgłosach" z dnia 22 lipca br. Dziś przypomnijmy tylko, że powszechna produkcja drożdży metanolowych, oprócz innych korzyści, może przynieść gospodarce oszczędności rzędu dwustu milionów złotych rocznie.

W POSZUKIWANIU BIAŁKA

Prace, mające na celu wykrycie nowych możliwości pozyskiwania białka, prowadzone są również w innych kierunkach. Przy Wydziale Chemii Spożywczej PŁ powstał, kierowany przez **doc. dr Piotra Moszczyńskiego**, zespół grupujący naukowców ze wszystkich czterech instytutów Wydziału. Celem prac tego zespołu jest otrzymanie lizyny. Wiadomo, że dodanie tego aminokwasu do paszy wydatnie zwiększa przyswajalność białka roślinnego przez organizm zwierzęcy. W efekcie białko, które dotychczas organizm wydalał, jest przetwarzane na czterokrotnie bardziej wartościowe białko zwierzęce.

Kraj nasz potrzebuje tysiące ton lizyny rocznie. Obecnie, aby zlagodzić te niedobory, importujemy wysokobiałkowe składniki paszowe, np. mączkę rybną i mączkę sojową, za sumę stu milionów dolarów rocznie. Oczywiście, w przypadku powodzenia prac prowadznych w PŁ import ten będzie można **znacznie ograniczyć**. Zakończenie badań przewidziano na rok 1980. Są już pewne osiągnięcia. Wyhodowano na podłożu octanowym szczep bakterii zdolnych wyprodukować 60 gramów lizyny z jednego litra pożywki. Dalsze prace mają na celu zwiększenie tej wydajności oraz zastosowanie innych pożywek pochodzenia pozarolniczego.

WAGA DOKONAŃ

Pamiętajmy, że ta długa lista obejmuje zaledwie niektóre z najważniejszych osiągnięć naukowych Wydziału. Osobnego omówienia wymagałaby też działalność dydaktyczna. Przecież w ciągu minionych dwudziestu pięciu lat mury Politechniki Łódzkiej opuściło blisko czterystu inżynierów i półtora tysiąca magistrów inżynierów ze specjalnością „chemia i technologia spożywcza".

Pracownicy Wydziału Chemii Spożywczej mają więc powody do dumy. Tym bardziej, że ich wielkie sukcesy powstawały w wyjątkowo trudnych warunkach lokalowych, przy skromnej bazie aparaturowej. Obecnie przed Wydziałem otwierają się nowe możliwości. Wybudowany kosztem stu milionów złotych, nowoczesny pawilon Wydziału przy ulicy Gdańskiej oraz najnowocześniejsza aparatura naukowa, sprowadzona z zagranicy, pozwolą jeszcze bardziej zintensyfikować prace badawcze oraz podnieść na wyższy poziom proces kształcenia.

* * *

W ostatnich latach obserwujemy wyraźne zaostrzenie deficytu żywności w wielu rejonach świata. Wyrazem wzrastającej troski o złagodzenie kryzysu żywnościowego były m. in. międzynarodowe konferencje w Bukareszcie, Rzymie i Paryżu. Trudności w zaopatrzeniu rynku w niektóre artykuły spożywcze dały się odczuć także w naszym kraju.

O tym jak wielką wagę kierownictwo Partii i Rządu przykłada do rozwoju rolnictwa i przemysłu spożywczego świadczą wymownie następujące liczby: Wartość produkcji przemysłu spożywczego wyniosła w roku 1975—420 miliardów złotych tj. o 150 mld więcej niż w roku 1970. W dwudziestoleciu 1970—1990 planuje się dwukrotny wzrost produkcji rolnej i 3,5-krotny wzrost produkcji przemysłu spożywczego. Temu ogromnemu skokowi ilościowemu musi towarzyszyć poprawa jakości produktów spożywczych. Dla osiągnięcia zakładanych efektów konieczne są olbrzymie nakłady na rozszerzenie i modernizację bazy produkcyjnej, przygotowanie wysoko kwalifikowanych kadr dla przemysłu rolno-spożywczego oraz intensyfikacja i rozszerzenie badań naukowych.

Ciężar wykonania dwóch ostatnich zadań spada w dużym stopniu na Wydział Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej. Uczeni z tego wydziału aktywnie włączyli się do prac naukowych w ramach rządowego programu o nazwie „Optymalizacja produkcji i spożycia białka". Radykalna poprawa warunków lokalowych i bazy aparaturowej oraz poważny dotychczasowy dorobek naukowy i dydaktyczny Wydziału — to silne podstawy do sprawnej realizacji ambitnych zamierzeń.

KOSMICZNA OFENSYWA KRAJU RAD

„FABRYKI" NA ORBICIE

Zagraniczni obserwatorzy naukowi podkreślają, że letnie miesiące 1976 roku charakteryzuje wyjątkowa aktywność Związku Radzieckiego w dziedzinie badań kosmicznych. Były więc i ekspedycja „Łuny-24" po próbki gruntu „najbliższego krewniaka Ziemi", i 48-dobowa podróż na pokładzie pilotowanej stacji naukowej „Salut-5" Borysa Wołynowa i Witalija Żołobowa, i loty śledzących pogodę „Meteorów", i niezawodna praca na orbicie kosmicznych stacji retransmisyjnych z Ziemi „Mołnii", i niezliczone okrążenia Ziemi „Kosmosów", wzbogacających naukę o nowe cenne informacje.

Na „orbitach współpracy" pracują obecnie „Interkosmosy-15" i „Interkosmosy-16". Lot pierwszego z nich jest próbą jednolitego systemu telemetrycznego, stworzonego przez uczonych krajów socjalistycznych. Próba ta, jak piszą gazety krajów naszego obozu, zapowiada, iż w niedalekiej przyszłości nad naszą planetą pojawi się automatyczna, uniwersalna, orbitalna stacja — kosmiczny instytut naukowo-badawczy krajów — członków RWPG. Natomiast instrumenty „Interkosmosu-16" badają bardzo uważnie procesy zachodzące na Słońcu.

Jednakże największe zainteresowanie światowej opinii publicznej wywołały loty „Łuny-24" i „Saluta-5".

„Nowy wielki sukces Związku Radzieckiego w badaniu i opanowaniu Kosmosu" — tak, ujmując rzecz w jednym zdaniu — oceniają gazety i czasopisma przeróżnych krajów świata dostarczenie (22 sierpnia) na Ziemię unikalnej próbki gruntu księżycowego przez automatyczną stację międzyplanetarną.

KOSMOS W SŁUŻBIE CZŁOWIEKA

Naukowi obserwatorzy podkreślają, że o ile „Łuna-16" i „Łuna-20" sięgnęły 35 cm pod powierzchnię gruntu księżycowego, o tyle „Łuna-24" rozwiązała jeszcze trudniejsze zadanie; zebrała niemal dwumetrowy słupek gruntu księżycowego, który, przemieszczony do swego rodzaju „ślimaka" (żeby się zmieścił w powracającym aparacie), znajduje się już w Instytucie Geochemii i Chemii Analitycznej im. Wernadskiego. Stąd, podobnie jak i cenne ładunki „Łuny-16" i „Łuny-20", część próbki gruntu księżycowego zostanie przesłana, w celu zbadania, do wielu krajów świata.

Loty pierwszych radzieckich „Łun", zapoczątkowane w styczniu 1959 roku, miękkie lądowanie na powierzchni Księżyca „Łuny-9", otwierające — jak uważa znany uczony Bernard Lovell — drogę do lądowania człowieka na tym ciele niebieskim, dostarczenie na Ziemię próbek skalnych, triumfalne podróże „Łunochodów", ekspedycje amerykańskich astronautów w programie „Apollo" — stworzyły uczonym możliwość otrzymania ogromnej ilości nowych informacji o Księżycu, wytyczyły drogę ekspedycjom na inne ciała niebieskie. Zbadanie Księżyca pomoże lepiej poznać także naszą własną planetę, jej wczesną historię geologiczną, co — zdaniem zagranicznych specjalistów — może przynieść ogromną korzyść gospodarce narodowej.

Związek Radziecki, podkreślają środki informacji wielu krajów świata, stopniowo i celowo wprzęga Kosmos do służby człowieka. Dowodzi tego wymownie zakończony 24 sierpnia lot Borysa Wołynowa i Witalija Żołobowa, który otwiera nową, ważną kartę w nauce i kosmonautyce.

Od momentu startu „Saluta-5", który wykonał ponad tysiąc okrążeń wokół Ziemi i obecnie kontynuuje lot w systemie automatycznym oraz startu transportowego kosmicznego statku „Sojuz-21", którego aparat lądujący dostawił kosmonautów po z góry półtoramiesięcznym gwiezdnym rajdzie na rodzimą planetę, prasa zagraniczna stale informowała swoich czytelników o tej ekspedycji, zwracała uwagę na ogromny program pracy wykonywanej przez Borysa Wołynowa i Witalija Żołobowa, informowała o ich codziennym życiu na pokładzie stacji orbitalnej.

WYROBY O NIEZWYKŁYCH WŁAŚCIWOŚCIACH

Ukazująca się w Paryżu amerykańska gazeta „International Herald Tribune" poinformowała przede wszystkim, że Rosjanie obmyślili interesującą metodę rozładowania nadmiernego napięcia ekipy stacji dzięki wprowadzeniu seansów łączności na tle cicho brzmiącej muzyki.

Z długotrwałego orbitalnego lotu „laboratorium" otrzymano obszerną i cenną informację naukową o fizycznych charakterystykach atmosfery Ziemi i Słońca. Wiele uwagi zwrócono na badania powierzchni ziemskiej, z korzyścią dla przeróżnych gałęzi nauki i gospodarki narodowej.

Ważną częścią programu tej ekspedycji okazały się badania przebiegu różnych fizycznych procesów oraz przeprowadzenie technologicznych operacji w warunkach nieważkości, które, jak wskazują uczeni, wytyczają drogę do stworzenia na okołoziemskiej orbicie prawdziwych „fabryk", w których będzie można otrzymywać materiały i wyroby o niezwykłych właściwościach, nieosiągalnych w ziemskich warunkach.

W trakcie lotu przeprowadzono pomyślnie opracowanie nowych systemów i przyrządów do statków kosmicznych i stacji orbitalnych, jak również wykonano kompleksowe badania reakcji organizmu człowieka na działanie czynników długotrwałego lotu kosmicznego.

ROZWÓJ RADZIECKIEGO PROGRAMU KOSMICZNEGO

Naukowy obserwator brytyjskiej agencji informacyjnej Reutera odnotowuje, iż obecna kosmiczna ekspedycja Związku Radzieckiego otwiera serię pilotowanych lotów zgodnie z planem nowej pięciolatki. Komentator podkreśla także, że chociaż eksploatacja stacji orbitalnych jest na razie związana z pewnymi trudnościami, brak bowiem pełnej jasności o wpływie długotrwałej nieważkości na organizm człowieka, to jednak stworzenie takiej stacji jest podstawowym kierunkiem rozwoju radzieckiego programu kosmicznego.

Badanie i opanowanie kosmosu w imię korzyści człowieka, rozpoczęte przez Związek Radziecki wystrzeleniem pierwszego sztucznego satelity Ziemi i legendarnym lotem Jurija Gagarina, pomyślnie postępuje naprzód. — stwierdza prasa światowa, podkreślając także, iż front i skala tej ofensywy na tajemnice Wszechświata rozszerzają się nieustannie.

15 września wystrzelono w Związku Radzieckim statek kosmiczny „Sojuz — 22" z dwuosobową załogą: płk. Walerym Bykowskim i inż. Władimirem Aksienowem. Na pokładzie statku zainstalowano specjalną aparaturę fotograficzną opracowaną przez specjalistów NRD i ZSRR. Celem lotu statku jest opracowanie i udoskonalenie metod i środków badania z Kosmosu geologiczno-geograficznych cech powierzchni Ziemi dla potrzeb gospodarki narodowej.

Lot „Sojuza — 22" potwierdza sugestia naukowych obserwatorów prasy zachodniej o rozpoczęciu serii radzieckich kosmicznych lotów pilotowanych.

J.C.

NIE TYLKO HISTORIA

FINANSE, WOJSKO I POLITYKA

Czytelnicy tych felietonów zdołali się już pewnie przekonać, że istnieje pewien rodzaj, czy też styl uprawiania historii, którego szczególnie nie lubię. Jest to styl opisowy, redukujący cel wysiłku badawczego historyka do opisu interesujących go procesów, zjawisk czy wydarzeń. Pomimo tego, że tendencje opisywackie były i wciąż są pod obstrzałem różnostronnej krytyki, że ganiono je z rozmaitych punktów widzenia, nie przestały one rozwijać się w naszym historycznym pisarstwie. Bowiem oprócz owych krytyk, a raczej przeciw nim, zaczęły działać osobliwe stymulatory, pobudzające autorów do uprawiania historii w tym, zdawałoby się od dawna anachronicznym stylu. Nie wiem, czy nie najistotniejszym spośród tego rodzaju stymulatorów jest pragnienie wydawców, aby każda książka historyczna czytała się lekko, łatwo i przyjemnie, nie sprawiając nikomu trudności czy kłopotów i wszystkich zadowalając. Wystarczy się przejść po księgarniach, aby dojść do przekonania, że nasza rzeczywistość wydawnicza preferuje w dziedzinie historii rzeczy bezproblemowe i tak zwane „czytelnicze". Oczywiście współczesne opisywactwo nie jest tożsame z dawniejszym: dzisiaj mamy już bezproblemowe i bezkonfliktowe opisy nie tylko serii wydarzeń politycznych, ale zagadnień historii kultury czy obyczaju, ba, nawet problemów gospodarczych. Decyduje tu przecież nie tyle przedmiot, ile styl historycznego badania, który może odnosić się do najróżniejszych przedmiotów. Tymczasem to wszystko, co się dzieje rzeczywiście nowego i ważnego na obszarze nauki historycznej, rozwija się poza tym stylem. Nie może się bowiem dokonywać gdzie indziej, jak na obszarze nowocześnie rozumianej historii, stawiającej sobie na celu nie tylko przedstawienie, ale przede wszystkim wyjaśnienie badanych, coraz rozleglejszych problemów. Oczywiście, nie obędzie się i bez opisu, skoro taki już jest język historii, że uniknąć go trudno, ale opis ten w ambitnych pracach historycznych jest podporządkowany wyjaśnieniu, jemu — nie zaś zabawie ewentualnych czytelników — przede wszystkim służy.

Książka, o której chciałbym dziś coś powiedzieć, nie jest z pewnością dziełem opisowym: elementów opisu jest tu stosunkowo mało, wiele za to liczb, zestawień statystycznych, najróżniejszych, wcale niełatwych do odczytania, pracowicie zestawionych przez autora tablic. A przecież dotyczy ona zagadnień, które dotychczas były najczęściej rozpatrywane w kategoriach historii opisowej, przy czym — jak się przekonujemy — do tej pory nie wyjaśnionych w sposób rzeczywiście uargumentowany i przekonujący. Zmiana optyki, stylu historycznego badania była tutaj koniecznością, jeśli autor chciał wrzeć głębiej niż na to pozwalała konwencja opisowego, powierzchniowego ujmowania interesującej go problematyki. Książka Kazimierza Krzyżanowskiego „Wydatki wojskowe Polski w latach 1918—1939", wydana świeżo (1976) przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe jest rozprawą, której celem jest udzielenie możliwie wszechstronnej odpowiedzi na trzy pytania, mające zasadnicze znaczenie dla naszych wyobrażeń o dziejach Polski w okresie międzywojennym. Pierwsze, to pytanie opisowe: ile wydano wówczas na rozwój sił zbrojnych kraju; jest ono przesłanką dla dwóch następnych. Oto one, w sformułowaniu autora: „czy środki finansowe zapewniały utrzymanie stanu obronnego na poziomie wykluczającym klęskę militarną?" Oraz pytanie ostatnie: czy owe środki, „przeznaczone na wojsko, zostały w sposób racjonalny wykorzystane". Nie trzeba chyba objaśniać, jakie jest znaczenie tych pytań bodaj tylko dla pełniejszego niż dotychczas, zrozumienia okoliczności i możliwości, jakie istniały w momencie wybuchu II Wojny Światowej. Studium z historii gospodarczej, rozpatrujące szczegółowe problemy gospodarki finansowej w okresie międzywojennym, służy tu wyjaśnieniu kapitalnego zagadnienia, znacznie przekraczającego ramy czy to historii wojska, czy historii gospodarki. Celem jest bowiem problem o znaczeniu ogólnym: rachunek szans, możliwości i ich wykorzystania, nie tylko armii, ale całego państwa polskiego, wobec nadchodzącej konfrontacji z września 1939 r. Przedstawiony przez badacza obrachunek odsłania bezpodstawność wszelkich sądów skrajnych, pretendujących do nieomylności, czy były to zdania przesadnie krytyczne, czy bezzasadnie optymistyczne. Starając się oddać sprawiedliwość podjętym w drugiej połowie lat trzydziestych wysiłkom, zmierzającym do podniesienia potencjału obronnego państwa, historyk nie kryje ich niedostatków. Analizując szanse i możliwości, dochodzi do wniosku, że „myśl o osiągnięciu przez Polskę potencjału przemysłu, zapewniającego bezpieczeństwo przed agresją" w oparciu jedynie o własne siły, „wydaje się być oparta na braku poczucia rzeczywistości". „Bezpieczeństwo mógł zapewnić Polsce tylko system, łączący własne zbrojne przygotowanie z systemem szeroko rozbudowanych międzynarodowych wojskowych porozumień. Wynikałoby stąd, że Polska przedstawiać mogła pewną określoną pozycję w rachunku międzynarodowym tylko jako część składowa pewnego szerszego układu politycznego i wojskowego. Przesuwało to zagadnienie zdolności obronnej Polski z płaszczyzny gospodarczej i wojskowej na płaszczyznę polityczną. I to jest prawda historyczna, którą potwierdza również dokonany wysiłek finansowy na rzecz obronności. Gdyby nawet rząd polski zdecydował przeznaczyć na cele wojskowe cały budżet państwa, i tak w stosunku n.p. do Niemiec (budżet wojskowy Rzeszy wynosił w latach 1938/9 — 18,4 mld DM), stanowiłoby to tylko niewielką część". Z pewnością warto zapoznać się z przesłankami, na jakich historyk oparł tą ogólną konkluzję; warto się też zastanowić nad wnioskami z jego książki.

LEKTOR

JERZY JARMOŁOWSKI

Z TRIOLETÓW

Rzeźba Stanisława Romaniaka

TRIOLET MĄDRUŚ CZYLI KAZANIE NA ŚCIANIE

jestże ów śmieszny co się z siebie śmieje
czy ów co siebie w powagę ubiera
a dzieje śmiechu to poważne dzieje
więc czy ów śmieszny co się z siebie śmieje
bywa powaga co głupotę sieje
jako śmiech bywa co rozumność zbiera
bywa że mędrzec z mądrości się śmieje
kiedy się głupiec w tę mądrość ubiera

TRIOLET NA OKOLICZNOŚĆ POJMOWANIA GARBUSA NA TLE LASKU

piękny jest garbus pośród zwierząt stada
gdy pośród ludzi zda się nieudaczny
bliższy naturze niż człecza gromada
ów garbus piękny pośród zwierząt stada
z grzbietem wygiętym gdy na łapy spada
przeto tak wokół garbusa nie skaczmy
piękny on bowiem pośród zwierząt stada
gdy człek w naturze to twór nieudaczny

TRIOLET NA PRZYJEMNOŚĆ EMPIRYCZNEGO ROZSTRZYGNIĘCIA SOFIZMATU PRAWDY

naga jest prawda tylko w buduarze
zda się nieprawdy to nieprawa córa
jak takąż posiąść kusio wam pokaże
człek zaś co rozum ponoć dostał w darze
pytałby — prawda a czyja a która
choć nagusieńka leży w buduarze
choć nagusieńka i nieprawa córa

TRIOLET TEORIOPOZNAWCZY PEWNIKIEM FENOMENOLOGICZNY Z ZASTOSOWANIEM REDUKCJI EIDETYCZNEJ ZAKOŃCZONEJ IDEACJĄ

czy Co ja widzę to To też mnie widzi
czy Co ja myślę to To też mnie myśli
czy z czego szydzę To też ze mnie szydzi
a To co widę to jak To mnie widzi
jak To się kurczy a jak To się wstydzi
To mnie wyśniło czy też jam To przyśnił
pytam jak nogieć swego pana widzi
to ja Go myślę czy On mnie wymyślił

TRIOLET O ZBAWIENNYM WPŁYWIE UBÓSTWA NA ROZWÓJ FRANCISZKANIZMU I TRZODY DOMOWEJ

a że mnie nie stać na psa posiadanie
hoduję skromne domowe zwierzęta
czują się u mnie jako w lesie łanie
chociaż mnie nie stać na psa posiadanie
nie martw się o mnie najjaśniejszy panie
mam karaluchy pluskwy jak z Rubensa
i choć mnie nie stać na psa posiadanie
hoduję jednak domowe zwierzęta

EUGENIUSZ IWANICKI

ROZBITEK

Obudziło mnie kołysanie. Moje ciało było poddane niezwykłym przechyłom: to stałem w pozycji pionowej, to znowu nogi znajdowały się nad głową, by po chwili ulec ciążeniu w zupełnie innej płaszczyźnie i zacząć się toczyć po podłodze kajuty. Ciemność i dalekie dudnienie potęgowały uczucie niepewności. Nie miałem siły by wstać lub przynajmniej zatrzymać się w którejś z tych pozycji, jakim ulegałem pod wpływem potężnego kołysania. Na próżno krzykiem usiłowałem przywołać współpasażerów, na próżno wyciągałem ręce licząc, że na małej przestrzeni podłogi uda mi się natrafić albo na Pastora albo na Pułkownika. Lecz widocznie krzywe naszych trajektorii nigdzie się nie przecięły, gdyż ciągle natrafiałem na metalowe ściany lub ostre kanty skrzyń i sprzętów.

Nie było wątpliwości: na oceanie szalał sztorm!

Walka z bezwładnością własnego ciała trwała dość długo. Bałem się jednego, jeśli któryś z iluminatorów nie wytrzyma naporu żywiołu i zostanie wgnieciony, mogę być porwany przez prąd wpadającej wody i niesiony jej gwałtownym strumieniem popłynąć korytarzami do trapów wiodących na niższe pokłady, stamtąd do maszynowni, w końcu na samo dno, do zenzy, gdzie uduszę się w gęstej mazi mazutu, oleju i nieczystości. Nie! Za wszelką cenę należy walczyć! Jeszcze raz zawołałem na Pastora i Pułkownika, a nie otrzymawszy odpowiedzi całą swoją uwagę skupiłem na topografii podłogi.

Dość szybko poznałem jej nierówności, nauczyłem się osłabiać uderzenia ciała o ściany, a nawet wiedziałem gdzie w danej chwili przesuwa się ciężka skrzynia Pułkownika. Jej metalowe okucia żłobiły potężne bruzdy w delikatnych deskach parkietu.

W końcu dało mi się uchwycić krawędzi koi. Z wysiłkiem, pokonując dziesiątki różnokierunkowych sił odśrodkowych rzucających okrętem, a tym samym i mną, zacząłem kierować się ku wyjściu. Jeszcze raz odskoczyłem, by przepuścić mknącą skrzynię wojskową Pułkownika i dopadłszy drzwi znalazłem się na korytarzu. Mimo ciemności, trzymając się metalowych uchwytów, brnąłem ku wyjściu. Nade mną, na górze, ryczał spieniony ocean i wyła syrena okretowa. Transatlantyk, chluba stoczni w Coma, drżał całym swoim stalowym kadłubem niczym postrzelony olbrzym.

Kiedy dotarłem do górnego pokładu, byłem u kresu sił. Poprzez gęstą noc i wodę ujrzałem puste miejsca po szalupach, strzaskane maszty (właściwie ślady po nich), unoszące się na przelatujących przez pokład falach strzępy ni to ubrań ni to ciał. Pojąłem wszystko: okręt został opuszczony!

Przez moment poczułem nawet satysfakcję: nareszcie jestem sam, pozbawiony praw i obowiązków, wolny od rozkazów, nie podlegający nikomu pod żadną szerokością geograficzną. Sam! Zdany na własne decyzje, zachcenia, na niezależną interpretację zjawisk. Dotąd zawsze podlegałem komuś lub czemuś. Osaczały mnie zakazy i nakazy, w chwili urodzenia zostałem obwarowany nieprawdopodobną ilością praw istniejących, które niejako odgórnie gwarantowały podporządkowanie mnie wszystkim prawom, jakie kiedykolwiek powstaną w przyszłości. Tak więc byłem sobą i byłem cząsteczką ogromnego społecznego organizmu, który mnie natychmiast zaakceptował wyznaczając mi moje w nim miejsce. Teraz znalazłem się nagle w strefie gdzie wszystko dotychczasowe traciło sens. Paragrafy, zarządzenia, przepisy, kodeksy — wszystko to było zaledwie pustym ciągiem zdań, słów, liter, znaków. Stały się martwe przez sam fakt nadciągającej śmierci. Gdzieś, w głębi transatlantyku, spoczywał zbiór praw morskich, siła i autorytet kapitana, lecz teraz była to zwyczajna, obojętna księga, przedmiot, który niedługo nasiąknie słoną wodą.

Trzymając się poręczy, powoli wracałem w czeluście statku, brnąc po miękkich dywanach wiodących do klasy luksusowej, do kajut milionerów i dyplomatów. W barze, w wątłym blasku fosforyzujących ozdób na plafonie, znalazłem butelkę przedniego koniaku. Szelma barman trzymał ją w szufladzie zamkniętej na klucz. Teraz należało pójść do kajuty kapitana. Sztorm nadal podrzucał statek do chmur by po chwili posadzić go na zamulonym piasku oceanicznego dna. Ale teraz to nie miało już żadnego znaczenia. Zbliżałem się do celu.

W kajucie kapitańskiej panowały nieprzeniknione ciemności. Nie widziałem nawet własnej wyciągniętej ręki. Brnąłem na wyczucie. Musiałem za wszelką cenę znaleźć się w jego olbrzymim fotelu, z którego wydawał rozkazy, polecenia, decyzje. Wyobrażałem sobie ten fotel jako coś olbrzymiego, obitego czarną skórą, miękkiego. Jeśli nawet nie będę pasować do jego głębokiego wnętrza, to rozpierająca mnie ambicja i radość uzupełnią ten drobny mankament.

Fotel okazał się znośny. Nie za miękki i nie za duży, przyśrubowany do podłogi obok biurka. Należało teraz zacząć wszystko raz jeszcze, od początku. Zacząć liczyć swoje życie od tej przełomowej chwili. Przeszłość — to czas nie istniejący! Odkorkowałem butelkę i przytknąłem do ust. Władza upaja! To najmocniejszy z trunków! Więc jeszcze łyk. I jeszcze. Niech żyją sztormy niosące śmierć i zagładę! Niech żyją cyklony i katastrofy przywracające życie!

Kiedy się obudziłem, świeciło słońce, ocean był spokojny, dął lekki pasat. Statku nigdzie nie było, pewnie zatonął. Siedziałem w głębokim, miękkim fotelu, kołysząc się na falach uderzających o szkło ogromnej butli ustawionej w jakimś ogrodzie czy palmiarni, bo wyraźnie widziałem egzotyczne, wysmukłe drzewa. Dookoła butli kłębił się tłum, ludzie przyciskali czoła do szkła by lepiej mnie widzieć, małe dzieci pocieszne rozplaszczały noski. Ktoś z trudem dźwignął korkową zatyczkę i zmienionym przez zwężającą się ku górze szklaną szyję butli, zapytał:

— Jak się pan czuje po wczorajszym sztormie?

Uniosłem kciuk do góry, dając do zrozumienia, że wszystko jest O.K.

— W przyszłym tygodniu umieścimy pana w łodzi podwodnej. Powodzenia.

Pociągnąłem łyk z butelki i przymknąłem oczy.

Nie ma to jednak, jak całkowita niezależność.

POSĄGI

Zatopiony w lekturze „Kamasutry" nie zauważyłem, kiedy nadciągnęła mroźna, styczniowa noc. Właśnie brnąłem przez wyrachowane meandry miłowania, przyswajając nieznane mi szczegóły tej trudnej sztuki, kiedy o szyby uderzyła zamieć. Drobne grudki przygnębiająco zastukały w szyby. W pokoju było przytulnie i ciepło. Trzeszczały smolne szczapy w kominku rzucając miękkie poblaski na kryształy i lustra, które rozpraszały i potęgowały ową przelotną jasność, dając poczucie spokoju, bezpieczeństwa i ciszy. Zbliżała się pora kolacji, z jadalni dolatywało pobrzękiwanie talerzyków i filiżanek.

Wszedł Jan z likierem i zamarł w wyczekującej, pełnej respektu postawie.

Z kieliszkiem w ręku zbliżyłem się do okna. Poprzez baśniowe koronki mrozu na szybie usiłowałem spojrzeć na park. Przemyślnie osadzone kryształki opalizowały tęczowo na rozległych liściach, kwiatach i zwierzętach splecionych ze sobą w fantazyjnych układach. Widziałem urzekający świat zimowych barw i wzorów. Zacząłem chuchać. Gorący oddech otworzył mi okno w oknie, przez które dostrzegłem czarne, rozwichrzone konary wiekowych wiązów. Im dłużej patrzyłem, tym potęgowało się we mnie przekonanie, że drzewa nie stoją w miejscu, że idą, przysuwają się, dążąc do celu, którego nie znam i którego nie mogę się nawet domyślić. Najbliższe, potężne i majestatyczne, a teraz niesamowite w tej śnieżnej kipieli, prawie przysunęły się do ściany, oparły się konarami o spadzisty dach siekąc gałęziami w stare gonty. Aby opanować własną niemoc i strach, spojrzałem w głąb parku. I wtedy go zobaczyłem! Stał, jak zawsze, zastygły w swojej urzekającej nagości, gotowy do jakiegoś ruchu, którego nie mógł wykonać, choć całe jego marmurowe ciało było jednym wielkim skupieniem się w sobie. Czekał. Ilekroć go widziałem, zawsze doznawałem tego samego uczucia: czeka na sygnał!

— Janie — powiedziałem. — Proszę wziąć moje futro i okryć tego biedaka.

— Słucham.

— Proszę tylko dobrze zapiąć guziki.

— Jak pan każe.

Przeszedłem do jadalni i w towarzystwie Jej Wielebności Matki Przełożonej oraz sędziwego Senatora oddałem się bez reszty kulinarnemu szaleństwu. O posągu szybko zapomniałem.

Rano zbudził mnie Jan. Jego twarz była skupiona i ściągnięta.

— Czy będą dalsze rozkazy?

Nie bardzo wiedziałem o co mu chodzi, był bowiem skrajnym introwertykiem, ale jeśli sam zaczął mówić, musiało zajść coś ważnego i nieprzewidzianego.

— O co chodzi, Janie? Mów wyraźniej.

Ale on zamilkł i tylko ręką wskazał na okno. Było zamarznięte jak wczoraj, a w miejscu, gdzie chuchałem, powstała nieregularna narośl zniekształcająca piękno pierwotnego rysunku. Musiałem dłuższy czas rozgrzewać oddechem szybę, aby móc spojrzeć na park. Ujrzałem rzecz nieprawdopodobną: obok figury ubranej w moje futro stały trzy inne! Ich nagość była rozpaczliwym wołaniem o pomoc.

— Janie! — krzyknąłem. — Niech Jan natychmiast coś z tym zrobi! Trzeba je usunąć! Słyszysz? Usunąć!

Niestety, byliśmy bezsilni. Nawet poszóstny zaprzęg nie mógł ich ruszyć z miejsca.

Trzeba było wynieść przyodziewek.

Teraz każdego ranka znajdowaliśmy w parku coraz to nowe posągi. Nawet ci w ubraniach zjawiali się niepostrzeżenie ustawiając się gdzieś w bocznych alejkach, jakby w zażenowaniu i niepewności czy zostaną przez nas przyjęci.

W mieście pozostały puste miejsca po cokołach, a w mojej garderobie, puste szafy po ubraniach. W końcu, kiedy Jan zaczął znajdować popiersia, a nawet same głowy — miałem tego dość. Park wyglądał niczym muzeum, a ja chcąc wyjść na spacer wkładałem sutannę Jej Wielebności Matki Przełożonej lub przyciasny mundur Senatora. Nie, doprawdy, moja dobroć i wspaniałomyślność wyczerpała się ostatecznie. Należało działać.

Ale na przeszkodzie stanęła pogoda: spadły takie śniegi, iż nie sposób było z parku dostać się do miasta. Co światlejsi rajcowie doradzali cierpliwość: wiosną będzie łatwiej przenieść posągi na ich dawne miejsca.

Do wiosny było jednak daleko.

Nie miałem chwili do stracenia. Podjąłem decyzję.

Wyjątkowo mroźnej i wietrznej nocy, zarzuciwszy na ramiona kożuch stangreta Hawryły i wziąwszy kuchenny taboret, wyszedłem drzwiami tarasowymi do parku. W pierwszej chwili niczego nie zauważyłem, lecz im dalej zagłębiałem się w alejki, stojące dotąd nieruchomo posągi jakby się przybliżały. W końcu znalazłszy niewielką polankę, właściwie było to skrzyżowanie dwóch szerokich alej, wbiłem stołek w śnieg, a sam stanąłem na nim w pozycji zwycięskiego wodza z ręką uniesioną, jakbym pozdrawiał wiwatujące tłumy lub wskazywał kierunek natarcia.

Księżyc świecił lodowato i jasno. Widziałem każde drzewo, każdy ruch przyczajonych w głębi parku cieni. Tak, teraz już nie miałem wątpliwości: posągi szły ku mnie. Poznawałem swoje futra na ich wysmukłych sylwetkach, palta, kożuchy, drogie draperie zdjęte z pokojów, a nawet wschodnie kolorowe kilimy. Gdziekolwiek spojrzałem — dostrzegałem sunące ku mnie postacie. Było coś symbolicznego w tej milczącej wędrówce, w tym wytrwałym marszu poprzez głęboki, nie udeptany śnieg. Już rozróżniałem twarze, wykrzywione w okrzyku usta, puste oczodoły. Zdawało się, że ten niemy i groźny pochód nie skończy się nigdy. Otaczano mnie. Byłem środkiem koła, jego nieruchomym punktem skazanym na bierne trwanie. W końcu znaleźli się tak blisko, że czułem powiew ich zimnych oddechów, choć zdawałem sobie sprawę z absurdalności całego zdarzenia. Trwając przez dłuższy czas w jednej pozycji, zacząłem ulegać złudzeniom i omamom. Aby wyzwolić się od ich natarczywości, od tej odpychającej bliskości marmurów, kamienia i brązu, by raz jeszcze udowodnić im swoją nad nimi przewagę — zdecydowałem się na krok ostateczny. Jednym ruchem zrzuciłem z siebie kożuch. Byłem nagi!

Nagi!

Nie pamiętam co stało się z posągami, lecz mnie, stojącego na taborecie, po dziś dzień pokazują wycieczkom odwiedzającym nasze miasto.

Rzeźby Stanisława Romaniaka

ŁÓDŹ AKADEMICKA

FOTO: WŁODZIMIERZ PARYS

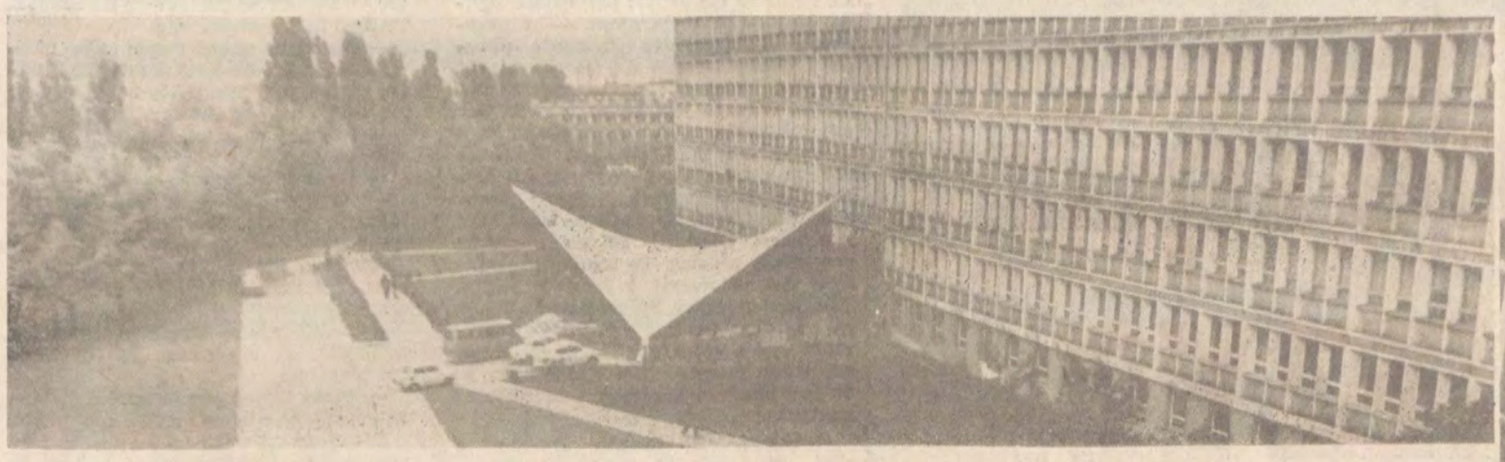

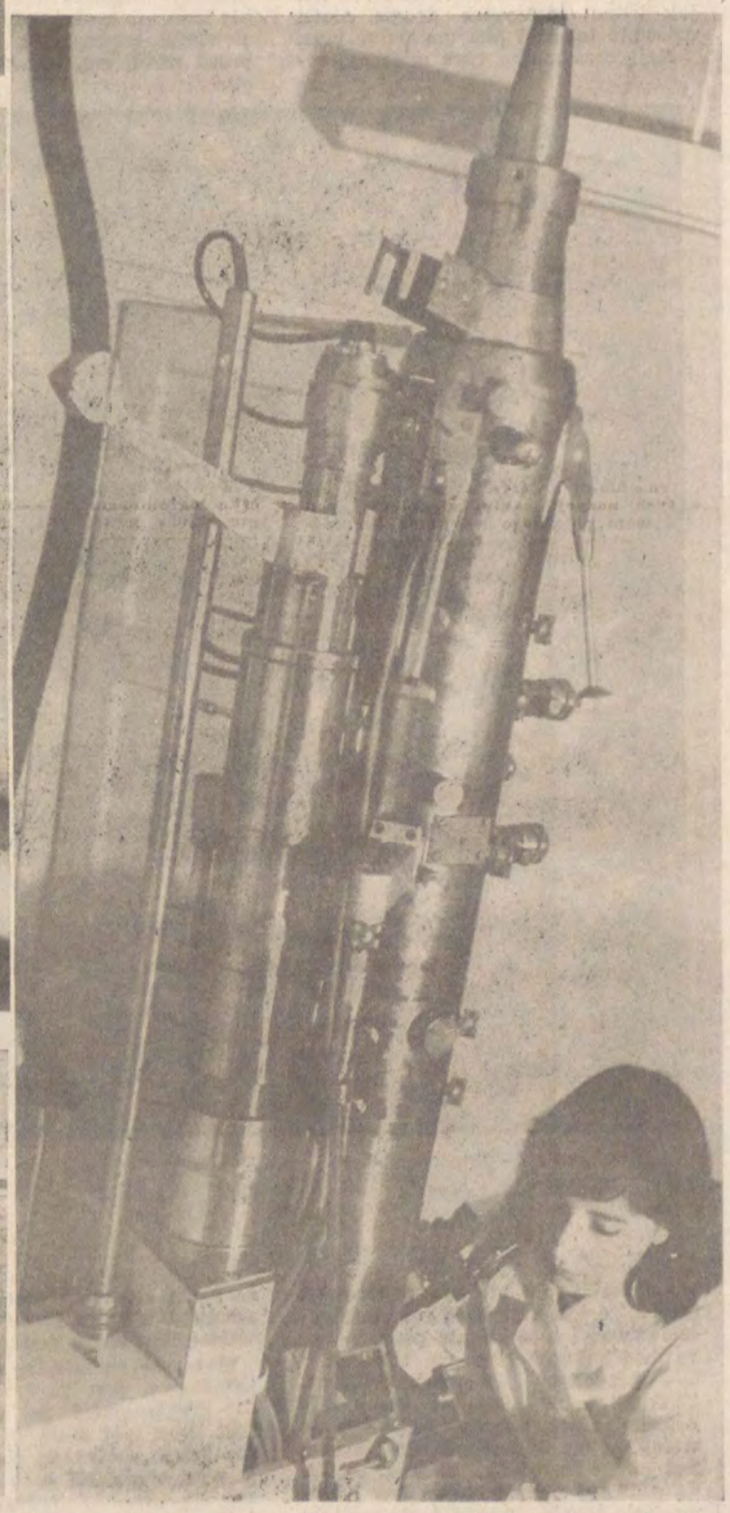

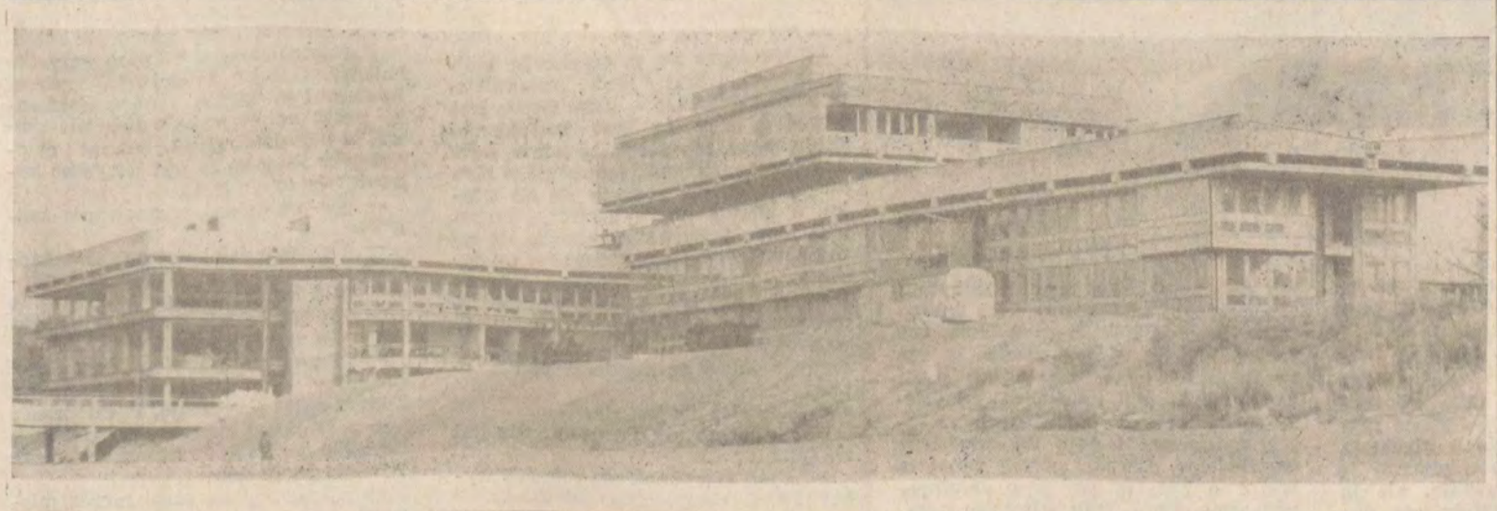

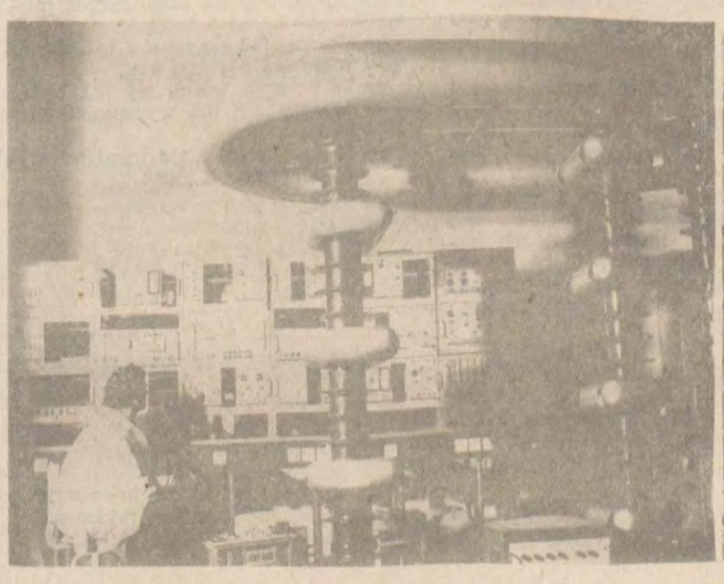

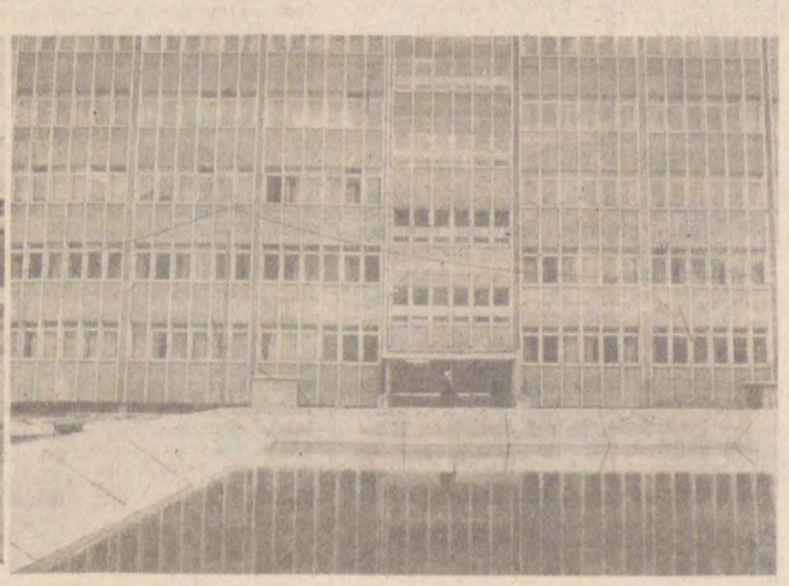

Co państwo sądzą O MŁODZIEŻY?

Dalszy ciąg ze str. 1

je ze dwie godziny wraca do domu, do dziecka. Jak ma męża, który jej pomaga, to jeszcze „z Bogiem sprawa", ale jak ma np. takiego, który studiuje, to jeszcze musi być w domu cisza i ona jest sama z dzieckiem. Wyprać, zrobić wszystko, posprzątać, ugotować — to już ona dzieciakiem nie ma kiedy i nie ma siły się zająć.

A w żłobku jak taka pani ma pod swoją opieką dziesięcioro dzieci to np. jak jedno się wysika, drugie, piąte, dziesiąte to skąd ona ma wziąć czas.

Najgorsza matka chce mieć najlepsze dziecko, ale nie ma możliwości. Chyba, że jest babcia co ma czas wychowywać i może o nie dbać. A tak to dziecko nosi klucz na sznurku.

— Jest chyba jedno najważniejsze. Tak jak rodzice żyją w domu i to dziecko widzi pożycie rodziców, to wtedy też się wychowuje. Bo jak mąż jest pijak, rozrabiają, bluźnią, to ten dzieciak też w tym rośnie i w końcu machnie ręką — wtedy dostaje się w taki wir, takie koło tych różnych chuliganów. A bywa tak czasami, że rodzice inteligentni, wykształceni, na poziomie, a dzieciak wykoleja się. Bywają takie wypadki, ale to już jest rzadko.

Od rodziców zależy całe wychowanie.

— Masz rację. Tak jest. On pracuje i ona pracuje, on się udziela społecznie i ona też, to są przecież w domu gośćmi. Czasami spotykają się tylko na kolacji, ale i to nie zawsze. I to dziecko jest zostawione samo sobie, bo oboje nie mają czasu. A później takie wyniki są, że np. stoi stary człowiek w tramwaju, a młodzi siedzą.

— Pozwólcie, że coś opowiem. Kiedyś zauważyłam w tramwaju, że stała starsza osoba, a obok siedziała młoda dziewczyna. Ja się do niej zwróciłam — „może byłaby pani uprzejma pozwolić tej starszej pani usiąść, bo widzę, że źle się czuje". A ktoś tam zaraz — „co za wychowanie, jaka ta dzisiejsza młodzież, jak to teraz w szkole uczą"...

Mnie się wydaje, że takie podejście do młodzieży wręcz nastawia ich wrogo do nas. Nie spotkałam się nigdy z faktem, że kiedy proszę „pan, czy pani będzie łaskawa ustąpić mi miejsca, bo źle się czuję" — żeby ktoś mi nie ustąpił. Jeżeli ja z miejsca naskoczę — a co za młodzież, a jaka to młodość — a ja zawsze mówię: zapomniał wół jak cielęciem był. Bo przecież młodzież nie jest absolutnie inna niż kiedyś, gdy się czyta wypowiedzi mędrców z iluś tam lat przed naszą erą, to wciąż się słyszy, że świat się musi przewrócić, bo ta młodzież nic nie jest warta. A jacy wartościowi ludzie wyrastają?

Mnie się wydaje, że młodzież jest jednakowa, jest bardzo wartościowa — przynajmniej ja taką spotkałam. Poza tym mnie się wydaje jedno: jeżeli spotykają się z niechęcią z wypowiedziami niepochlebnymi to oni się „contra" nastawiają, ale to jest poza, takiej młodzieży nie ma. A jak ich się traktuje uprzejmie, grzecznie to nawet w momencie takiego zacietrzewienia trochę im — jak to się mówi — „rura mięknie".

Ja jestem pozytywnie nastawiona do młodzieży.

— To samo ja, jestem pozytywnie nastawiony a tym bardziej, że rząd nasz i nasza partia na czele z naszym pierwszym sekretarzem Edwardem Gierkiem stawiają na młodzież. I to jest słuszne założenie...

— A tu bym jeszcze dodała...

— Zaraz, zaraz... I to jest słuszne założenie. Dlaczego? Bo jeżeli my nie wychowamy młodzieży, to my tej młodzieży nie będziemy mieć dobrej. My musimy im dać przykład tzn. społeczeństwo musi im dać przykład jak należy postępować ażeby oni działali później tak jak ich przodkowie, jak ich rodzice, dziadkowie. Tak oni muszą pracować! I wtedy dopiero będzie młodzież dobrze wychowana i będzie pracować, a państwo będzie egzystować. Jeżeli my nie wychowamy młodzieży, nie damy jej przykładu, to trudno od niej się spodziewać żeby lepiej pracowała od nas...

— Ja chcę powiedzieć jedno: mnie się wydaje, że największym nieszczęściem to jest dobrobyt rodziców. Młodzież, która musi zdobywać pewne rzeczy, ta młodzież jest bardziej wartościowa. Ja tak zaobserwowałam.

— Ja bym się nie zgodził z pani wypowiedzią. Dlaczego? Dlatego, że my idziemy naprzód, idzie technika, idzie to wszystko, idzie produkcja i my proszę pani teraz dążymy do czego?... Do tego dobrobytu i ten dobrobyt uwidacznia się i trudno teraz żeby młodzież zdobywała coś takiego. Kiedy dzisiaj rodzice są nie na takim poziomie jak myśmy mieli rodziców. Dzisiaj rodzice tej młodzieży są na jakichś stanowiskach, są lepiej sytuowani i dają tej młodzieży wyszkolenie. Dzisiaj, proszę pana, ta walka o byt, ta walka o założenie własnego domu, tego własnego ogniska na czymś innym polega! Oni mają dzisiaj zupełnie inne zadanie, lekkie, zupełnie nie takie jak myśmy mieli.

— Tak, tak... Mają dzisiaj ułatwione... a

— Pan mnie nie zrozumiał. Mnie nie chodzi o to, że technika itd., mnie chodzi o co? że młody człowiek musi się nauczyć cenić pewne rzeczy.

Jeżeli ja daję na miesiąc mojej córce 10 zł, to jest minimalna suma, ale jeżeli ja jej daję 500 zł i ona sobie z tego pieniądza nic nie robi?... Mnie o to chodzi, że za łatwo im to wszystko przychodzi, za łatwo. Bo dziesięć złotych jej nie wystarczy, wiadoma rzecz, to ona sobie korepetycje weźmie, to ona sobie butelkę sprzeda, czy coś innego — musi myśleć, musi wiedzieć, że pieniądz ma jakąś wartość.

Poza tym o co mi chodzi... że w klasie różne są elementy: przychodzi panna elegancko wystrojona — i przychodzi dziewczynka skromnie ubrana i wtedy tworzą się pewne klany. Ta jest lepiej ubrana w zagraniczne stroje, więc to jest kółko jakichś tam arystokratów, a to są plebejusze, z którymi nie ma kontaktu. Mnie się zawsze wydawało, że największą klęską dla dziecka jest to kiedy przychodzi na świat w rodzinie zamożnej i głupiej! Głupiej!, że na wszystko pozwalają rodzice. Te ciuchy zagraniczne dla dziewcząt i fryzury jakieś. Nie ma tego co było przed wojną — mundur! On był z lepszego materiału czy z gorszego, ale to był zawsze jeden mundur. Nie widać było, że tu jest ciuch zagraniczny, a tu skromna sukienka!

— Oczywiście, że tak. Dawniej a dziś to jest kolosalna różnica. Kolosalna różnica jest proszę pani. Dzisiaj jest zupełnie co innego, dzisiaj młodzież.

— ... ma duże możliwości.

— Tak... i dzisiaj państwo daje na to, państwo uczy, a przed wojną trzeba było płacić i to jeszcze ile...

— Były bezpłatne i były płatne szkoły, ale mnie nie o to chodzi. Dla mnie ci ludzie są wartościowi, którzy nie idą tak łatwo przez życie, którym rodzice nie ułatwiają, bo są takie przypadki, że się mówi — „a ja nie mam zmartwienia, mój tata mi to załatwi"; egzamin czy coś takiego. To jest dla mnie największe zmartwienie.

— Mnie się wydaje, że już teraz się tak łatwo egzaminów nie zdobywa... Początki po wyzwoleniu to było bardzo łatwe. Ja, proszę pana, nawet miałem propozycje, że w przeciągu trzech lat mogłem inżyniera zdobyć. w przeciągu trzech lat. Ale, że ja nie chciałem z wiatrem to poszedłem pod wiatr i zostałem przy swoim. Ale były takie sprawy, głośne pogaduszki, że za pieniążki to dyplom czy maturę... Na to państwo i rząd położyli taki nacisk, że to zostało zlikwidowane.

Teraz jeszcze jedna rzecz jeżeli chodzi o naszą kochaną młodzież. Nasza młodzież lubi się bawić!

— A kto nie lubi się bawić?

— Nie! Nie! Mówimy o młodzieży!

— A jak ja byłam młoda nie lubiłam się bawić?

— Proszę pani, ale teraz zabawa...

— Ale wtedy nie miała pani takich możliwości, żeby co sobota była zabawa. Bo w gimnazjum to była w karnawale jedna jedyna zabawa. A na bal maturalny to się szło w mundurku tylko z tą różnicą, że była biała bluzka i granatowa spódnica. A dzisiaj to panny pójdą ufryzowane, umalowane, Bóg wie co.

Ile jest kawiarń i jest dopuszczone, że młodzież tam idzie? To nie jest wina młodzieży! To nie jest wina młodzieży, absolutnie! Ja bardzo lubię młodzież i ja nie mam do młodzieży nic, ale wina jest, że to się udostępnia. Ona nie to, że ma za dobrze, ja nie powiem, bo każdy się bawi... My jesteśmy starzy i też jeszcze się chętnie pobawimy. Młodzież teraz za dużo ma swawoli, za dużo wolności — przynajmniej w moim pojęciu. A tu młodzież zamiast się uczyć to idzie sobie koleżanka z kolegą do kawiarni, po tego... i ta nauka nie jest wartościowa.

— Jeszcze jedno, proszę pani. Chodzi mi o co? o formę zabawy. W jakiej formie odbywają się te wieczorki czy potańcówki. To jest główne.

— Jak pan to rozumie?

— Ja to rozumiem w ten sposób. Dziś powstają kluby, a w tych klubach różne rzeczy się dzieją.

— Nie wiem, bo nie byłam.

— Ja też nie byłem.

— To skąd pan wie?

— Ale czyta się w prasie: tu klub zamknięto, tam klub zamknięto, tu klub zamknięto — tam muszą być powody. Niby to jest kawiarenka skromna, to, adapterek, to tamto, owo. Ale, proszę państwa, tam alkohol płynie niemożliwie, zaczyna się od winka, a kończy się na czerwonej kartce. I co tam się wyrabia: pozwala się na to na tamto, a później urządza się dyskoteki, strip teasy, cholera wie co jeszcze! Tak, tak, to jest smutne, to jest bolesne, przez to młodzieży nie wychowamy.

— To jakby tę młodzież podsumować?

— Młodzież nie jest zła.

— Na pewno nie, na pewno nie jest zła tylko...

— ... ma sposobność do różnych wybryków. To nie jest wina młodzieży.

— A czy myśmy nie mieli tych wybryków?

— Nie!

— Boże, ja miałam trzech braci i byłam jedna, a mój ojciec mówił tak: Matko Święta! Wolałbym jeszcze czterech synów wychować, jak tę jedną córkę...

— Ja też wychowałam i wiem że żadnych wybryków takich nie było. Czy była, proszę pani tak kawiarnia za kawiarnią? Były szkoły przede wszystkim nie koedukacyjne — czysto męskie i czysto żeńskie.

— A to źle podobno...

— Jak to? To bardzo dobrze!!

— Ja cały czas słyszę, że to jest niedobrze dlatego, że od zarania, od Adama i Ewy mężczyzna i kobieta są razem.

Nie róbmy z siebie świętoszków, bo tak nie jest.

— Świętoszków ja nie chcę robić, ale ŚWIĘTOSZKAMI BYLIŚMY. Trudno taka jest prawda.

— Na balu maturalnym pije młodzieniec 18—19-letni lampkę wina. Teraz przypomnijcie sobie czy w ich wieku nie wypiliście nigdy?

— Ale nie w szkole na balu maturalnym...

— Co to za różnica?

— A jest różnica, duża. Jest, załóżmy, jakaś uroczystość rodzinna i wtedy daję temu 18 — czy 19-latkowi kieliszek wina, ale nie na balu maturalnym i nie w żadnej kawiarni.

— Jeżeli może wypić z tatusiem, mamusią, z wujkiem, to dlaczego nie z kolegą.

— Może wypić, ale ja pani mówię — za naszych czasów tego nie było.

Teraz się wymaga od młodzieży Bóg wie co. Młodzież jest dobra, ja tam do młodzieży nic nie mam.

— Najbardziej to tu chodzi o formę wypicia. Młodzież za dużo pije pokątnie. Ja nie ganię, że piją na studniówce, na balu maturalnym, czy w gronie rodzinnym. To jest oczywiście przyjęte, to nie jest szkodliwe, a to jest nawet wychowawcze, towarzyskie. Ale picie gdzieś, jakąś szklaną na bokach, za drzwiami, za kotarą. A tak dzisiaj jest, niestety.

— Czy dużo dzisiaj młodzieży takiej co pije za kotarą?

— A jest bardzo dużo...

— Ja nie wiem, bo nie widziałam.

— Właśnie chodzi o to, że tam należy wkraczać i wychowawczo działać... Jednym słowem — młodzież musimy wychowywać i uczyć życia towarzyskiego. I to należy w nią wdrażać. Jak ten młody człowiek zwraca się do dziewczyny. Jak? Albo jak oni tańczą? Ludzie dajcie spokój! Ja też tańczyłem, fokstroty śmigłem po sali, że taka jak ta była dla mnie mała, robiło się przeskoki, słupki, przejścia w lewo, w prawo i w tył i tamto... A co dzisiaj? Zbije się tabunu tej młodzieży — nie wiadomo kto dla kogo i z kim.

— Bardzo fajny taniec, podoba mi się!

— Ale zaraz, zaraz — niech mi pani nie przerywa.

I właśnie przez ten taniec, bo ja to nazywam dzikim zachodem, przez tę muzykę to my tę dziczyznę wpajamy młodzieży. A gdyby oni umieli tańczyć walca, walca angielskiego, tango, już nie będę mówił o bluesach takich czy innych — to te tańce są towarzyskie i one wychowują.

— Skąd ta młodzież ma umieć tanga, walce, jak grają im tylko tę muzykę z dzikiego zachodu.

— No i w tym jest cały dowcip...

— Nie możemy mieć pretensji do młodzieży, że ona nie umie tańczyć. Przecież my ją nie uczymy.

— Ja wam powiem, jakie ja mam argumenty, może się z nimi nie zgodzicie, że młodzież lubi beat to wiadomo — lubi i ma prawo.

Przedtem panna siedziała na kanapce i czekała aż ją chłopiec poprosi. Jeżeli była ładna, pięknie ubrana to, wiadoma rzecz, miała powodzenie, a jeżeli była taka sobie — trochę gorsza, to już nie miała. Teraz każdy tańczy sobie sam. (głośny śmiech pozostałych osób — uwaga autora). Muzyka zagra i wszyscy chłopcy, wszystkie dziewczęta tańczą.

— Albo pójdzie dziewczyna poprosić chłopaka, bo to jest kolega, tylko kolega czy koleżanka. Nie ma tak, jak kiedyś było: panienka i kawaler, tylko to jest koleżeństwo. To jest coś nie tak.

Ja uważam to za złe dlatego, że teraz ani dziewczyna nie ma odpowiedniego szacunku, ani panna, ani kobieta starsza: Dlaczego? Bo to są wszystko koledzy. Oni się boksują i... Przecież wychowałam dwóch synów, koleżanki przychodziły, bo było duże mieszkanie, to i on dziewczynkę pchnął i dziewczynka jego, bo to jest wszystko koleżeństwo, to nie jest...

— Nie ma dzisiaj uszanowania żadnego.

— Nie ma dzisiaj uszanowania żadnego, ale to nie jest wina młodzieży, a wina właśnie wychowania społecznego, że tak powiem. Bo to jest społeczne wychowanie.

— Pan prosił żeby się wypowiedzieć co, kto o tej młodzieży myśli, więc ja dalej utrzymuję, że młodzież...

— ... młodzież nie jest zła.

— Nie jest zła i nawet te różne wyskoki to ja też...

— Wyszumieć się musi nieraz młodzież....

— Wyszumieć się musi i to... ale na ogół młodzież nie jest zła.

— W naszym wieku też tak było...

— Myśmy się też wyszumieli troszeczkę.

— Może inaczej... ale młodzież wyszumieć się też musi.

Fot.: W. Parys

Opracował:
WALDEMAR M. WIŚNIEWSKI

Za pomoc w nagraniu rozmowy dziękuję **Ryszardowi Zagórskiemu.**

POZDROWIENIA DLA BEŁCHATOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

rajstopy i sandałki na strzelistych obcasach. Ewa Buczko jest instruktorem do spraw kultury w zakładzie świadczącym usługi Przedsiębiorstwu Budowy Elektrowni i nie tylko jej wygląd, ale i życiorys przylega do scenariusza współczesnego filmu. Można sobie bardzo dobrze wyobrazić film o Ewie, której rolę grałaby Małgorzata Braunek...

Ewy droga do Bełchatowa była bowiem ogromnie typowa. Ukończyła niedawno Studium Medyczne we Wrocławiu i mając ofertę pracy na miejscu, w dużym spokojnym przedsiębiorstwie, postanowiła przyjechać tu. Po Studium Medycznym do Bełchatowa i do przedsiębiorstwa nie mającego nic wspólnego z leczeniem? Ewa jednakże ukończyła na tym Studium Wydział Pracowników Socjalnych, uczyła się tam psychologii, socjologii, prawa, filozofii i wiedziała, że tu na takich czekają. Na specjalistów.

Ale dlaczego wybrała Bełchatów? Po prostu spędziła tu udane wakacje u cioci, na rok przed podjęciem decyzji i zobaczyła, że wujostwu się powiodło. We Wrocławiu dostałaby wprawdzie 2400 zł plus dodatek, w Bełchatowie natomiast 2100 zł, a na rękę 1.900, ale to, co we Wrocławiu byłoby stabilizacją, tutaj jest początkiem. Nie, Ewa Buczko wcale nie ma zamiaru spędzić życia na stanowisku instruktora do spraw kultury, czego dowodem zdawane egzaminy do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu na Wydział Pedagogiki w zakresie pracy kulturalno-oświatowej. Ale uważa, że przyszłość należy do ludzi, którzy stanowią klasę w swoim zawodzie.

A czy gdziekolwiek bardziej można poznać komplikacje, różnorodne uwarunkowania towarzyszące powstawaniu nowego wielkiego ośrodka, niż w miejscu, w którym z dnia na dzień zmienia się życie tysięcy ludzi? W którym ludzie przyjechawszy z najróżniejszych krańców Polski muszą się uczyć nowych obyczajów, nowych form współżycia, nowej kultury? I w którym „tubylcy" z dnia na dzień awansują na mieszkańców znacznego ośrodka przemysłowego, co wiąże się nie tylko z plusami, ale także z ogromnymi kłopotami z nie nadążającą gastronomią, handlem, usługami, gospodarką mieszkaniową?

A co to w ogóle znaczy — sukces w Bełchatowie? Wujostwo Ewy przyjechali tutaj niespełna dwa lata temu, on natychmiast dostał pracę jako jeden z szefów transportu w kopalni, ona jako nauczycielka w miejscowej szkole. Po kilku miesiącach (oboje w wieku około czterdziestki) dostali swoje wymarzone trzy pokoje z kuchnią w Osiedlu 1 Maja-Wschód, szybko się urządzili, zagospodarowali, bo pensja, zwłaszcza wuja, nie najgorsza i kiedy przyjechała do nich na wakacje Ewa, była urzeczona. Specjalnie kuchnią z wmontowanym w stole rożnem. Chętnie u nich zamieszkała.

Wujostwo więc życiowo wygrali, ale to dlatego, że wuj był poszukiwanym fachowcem z praktyką. Nie wszystkim się tak udaje, żeby dostać tych pięć, sześć tysięcy na rękę i mieszkanie, ale w Bełchatowie ceni się niezmiernie wysokie kwalifikacje. I z tym możesz być pewny, że nie zginiesz, że wszędzie przyjmą cię z otwartymi rękami. To jest właśnie sukces po bełchatowsku.

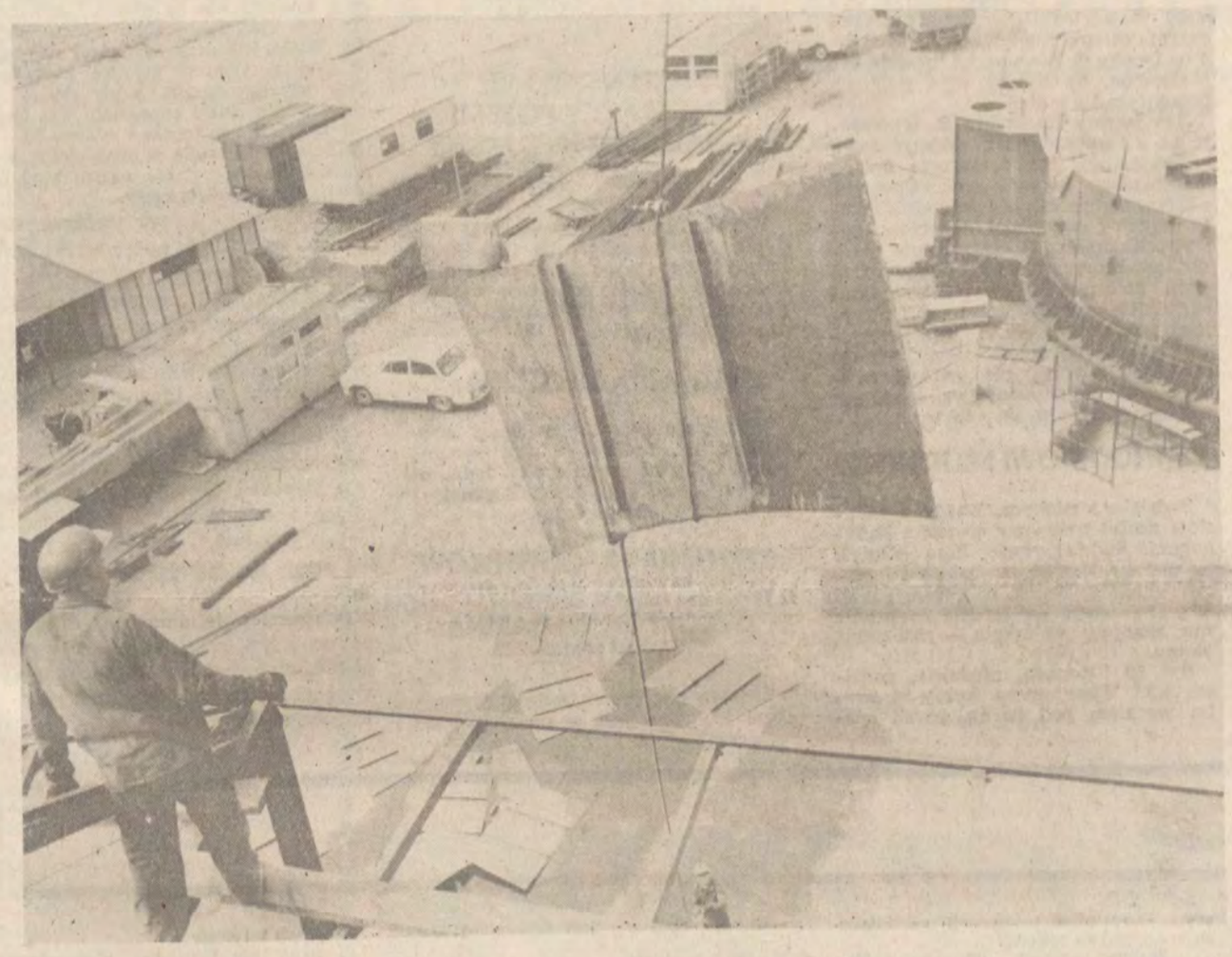

Fot.: W. Parys

☆ ★ ☆

„Panie kierowniku, albo pani kierowniczko! Z powodów osobistych muszę zmienić miejsce pracy. Mam lat czterdzieści dwa, jestem robotnikiem, przyjmę pracę każdą, byle w Bełchatowie. Czy te bloki, co pokazywali w telewizji, są już oddane?"

☆ ★ ☆

Ewa Buczko przyjechała do Bełchatowa z drugiego końca Polski, podobnie jak jej wujostwo, inaczej z Jadwigą Sujko. Urodziła się w Bełchatowie, tu ukończyła szkołę, a potem dostała się do Studium Medycznego, ale w Łodzi. Skończyła także Wydział Pracowników Socjalnych, a więc specjalistów kształconych dla potrzeb wielkich zakładów. Dlaczego wróciła do Bełchatowa?

Najpościej by było powiedzieć, że ze względu na łatwiejsze warunki. No, bo tak. Gdyby nawet pozostała na stałe w mieście Łodzi i otrzymała na początek te swoje dwa tysiące z groszami, jedną trzecią tego opłacałaby pokój sublokatorski. A wyżywienie, a kupno pantofli, sukienki, ą fryzjer?

W Bełchatowie Jadwiga Sujko mieszka u rodziny najbliższej i nie płaci za mieszkanie. Ale nie tylko. Ona ma po prostu świadomość, że w takim miejscu, w którym robi się wszystko, aby jak najszybciej zyskać opłacalną, dochodową instytucję, musi być, jeśli nie teraz to później, ludziom łatwiej żyć. Wraz z budową wielkiego kombinatu, wzrastającą liczbą zatrudnionych, będzie się rozwijał sam Bełchatów, dostanie przywileje, rozrośnie się, osadzi mocno na tej ziemi.

Ten nagły przemysł już zresztą spowodował pewne zmiany w myśleniu bełchatowian. To miejsce przestało być zapomnianym miejscem na mapie i już nie trzeba z niego uciekać. Mówiło się dawniej: Bełchatów się starzeje, każdy młody ucieka, żeby nie zaśniedzieć, nie ugrzęznąć w tej magmie szarości i przeciętności. Jadwiga wróciła i ten jej powrót jest sprawą niemal symboliczną.

Czy zrobiła dobrze, że zakopała się w Bełchatowie, w zakładzie usług socjalnych, w którym „zawiaduje" hotelami, kwaterami prywatnymi, mieszkaniami „funkcyjnymi"? Na początku łatwo nie jest — powrócić po dwóch latach spędzonych w mieście, gdzie działa trzydzieści kin i na każdym kroku masz sklepy z wielkimi wystawami, gdzie dzień przedłuża się do świtu — do miasta z jednym miejscem spacerowym wśród głównej ulicy. Przemysł jeszcze nie wybuchnął razem z wielką kulturą i bogatszą gastronomią i te braki odczuwalne są na każdym kroku. Istnieje swoista dysproporcja pomiędzy marzeniami i rzeczywistością. Żeby choć więcej niż jedno kino i jeszcze jedna kawiarnia i jeszcze jakiś klub obok klubu „Gwarek" i kawiarenki na Biłgoraju przy hotelu robotniczym i choć Łódź zbliżyła się, to jeszcze się do niej tęskni. Ale może na początku tak musi być?

Ważne jest to, że tu, gdzie codziennie przybywa „napływowych" kilka tysięcy ludzi, łatwiej można znaleźć życiowego partnera lub partnerkę, łatwiej o towarzystwo. Że tu, gdzie jest taka ogromna kondensacja zawodów i specjalności, łatwiej o ciekawych ludzi, choć na pewno z rozmaitą przeszłością. Boć przecież z różnych powodów ludzie przyjeżdżają do tego Bełchatowa.

☆ ★ ☆

„Czy to prawda, że u was czeka się na ludzi różnych zawodów i że każdy ma szansę otrzymania pracy? Mam rodzinę, żonę i dwoje dzieci i chciałbym przyjechać od zaraz. Czy mogę liczyć na opiekę i zainteresowanie?"

☆ ★ ☆

...**Zofia Perlan**, kierownik Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych w Bełchatowie, wie o tych ludziach niemal wszystko. Do niej przychodzą listy z całego kraju, przeciętnie dziesięć w miesiącu, do niej dostarczają listy z zapotrzebowaniami kadrowymi działające tu przedsiębiorstwa. Z jej poręki otrzymało tu zatrudnienie kilka tysięcy osób i ona wie najlepiej, co to znaczy przyjechać do Bełchatowa.

Bo to jest tak. Kiedy młody człowiek gdzieś tam na swojej zielonogórskiej wsi przeczyta w prasie o Bełchatowie, zobaczy w telewizji teren wielkiej budowy, decyduje się często bez uprzedzenia zmienić swoje miejsce w życiu. I któregoś dnia spakowawszy rzeczy w walizkę wysiada z pociągu albo autobusu w Bełchatowie. No i co? Legenda może nie znaleźć potwierdzenia. Rzecz w tym, że niektóre przedsiębiorstwa pracują w Bełchatowie okresowo, np. Przedsiębiorstwo Robót Kolejowych nr 15 — Oddział Budowy Mostów w Zarzeczu będzie działało najwyżej do 1980 r. Po skończeniu roboty zwinie swój sprzęt i odjedzie w siną dal. Dlatego to przedsiębiorstwo nie zapewnia mieszkań. Owszem, potrzeba mu np. inżyniera budowlanego po skończonym wydziale budownictwa lądowego, czy kierownika budowy obiektu, z dużą praktyką i im okresowe mieszkanie zapewnia, ale już zbrojarzom, betoniarzom, których też może pewną liczbę zatrudnić, nie. Inaczej już z Przedsiębiorstwem Budowy Elektrowni, które potrzebuje operatorów sprzętu budowlanego z wysokimi kwalifikacjami i tym ludziom zapewni mieszkania. Wbrew pozorom nie ma zapotrzebowania na robotników niewykwalifikowanych. Oni wzięli się z miejscowego naboru, już na początku, w okresie „rozruchu", więc też Bełchatów czeka z otwartymi rękami, ale na fachowców najwyższego rzutu. Wyłącznie.

A rotacja jest duża. Wszystkie przedsiębiorstwa składają swoje zapotrzebowania w terminach miesięcznych w Wydziale Zatrudnienia. Dla przykładu — w czerwcu potrzebowano do pracy 612 mężczyzn i 112 kobiet, a wydano skierowania do pracy 408 osobom, w tym fizycznym pracownikom — 362, a wykwalifikowanym — 213. Umysłowych było potrzeba tylko 46. Bardzo małe szanse są dla kobiet, a to dlatego, że jeszcze nie nastąpił gwałtowny rozwój tkanki miejskiej, jeszcze poza zamkniętymi bufetami i stołówkami, nie zwiększyła się sieć sklepów, punktów usługowych, restauracji, kawiarń. Miasto jeszcze nie zaczęło rozwijać się gwałtownie, pomimo placów budowy, pomimo stopniowo rozwijającego się zaplecza gospodarczego.

Restauracja i kawiarnia „Jubileuszowa" nie zmieniły swego „wachlarza" dań. Choć przepraszam, wcześniej niż dawniej można zjeść śniadanie-obiad — zalewajkę z kiełbasą, przegryźć kanapkę z pastą z sera, a w karcie dań znalazło się nawet mleko. Tylko nie zawsze jest. A naprzeciw w sklepie spożywczym można dostać gorzką czekoladę Sucharda i zraziki niegocińskie.

... No więc, jeśli przyjedzie bez porozumienia ten z zielonogórskiej wsi, mogą być z nim kłopoty. Z zatrudnieniem i zakwaterowaniem. Niestety, dość dużo osób musiało odjechać z kwitkiem. Ale przypuśćmy, że znajduje zatrudnienie w Przedsiębiorstwie Budowy Elektrowni. Tam dostaje skierowanie na zakwaterowanie.

Zakład Usług Socjalnych zapewnia trzy rodzaje mieszkań — kwatery prywatne, mieszkania hotelowe w blokach tzw. funkcyjne i hotele robotnicze. To zakwaterowanie, to zresztą nie tylko sprawa bytowania dla kadry, ale także jedno ze źródeł zarobkowania mieszkańców Bełchatowa. Nieprzypadkiem, z początkiem budowy wielkiej inwestycji dał się zaobserwować proces przyśpieszonej budowy domków jednorodzinnych. Jeśli wynajmując pokoje możesz zarobić miesięcznie nawet 5—6 tysięcy zł to czemu nie?

Mógłby ktoś myśleć, że wynajęcie pokoju dla inżynierów, techników, dla kadry to łatwa sprawa. Byle cztery ściany, łóżka z pościelą i już. A tymczasem nie. Istnieją zasady w wynajmowaniu pokojów, od których nie ma wyjątków. „Pokoje gościnne powinny odpowiadać następującym warunkom: powierzchnia na 1 osobę nie mniejsza niż 5 metrów kw., wysokość przynajmniej 2,4 m, ściany i sufit powinny być suche, pokój powinien być należycie oświetlony, aby stosunek okien do powierzchni podłogi nie był mniejszy niż jedna ósma i prawidłowo ogrzany do 18 stopni." To IV kategoria, najniższa, płatny pokój jednoosobowy 25 zł noc, łóżko w pokoju 2-osobowym 18 zł, łóżko w pokoju wieloosobowym 15 zł. I dla przykładu I kat. — „powierzchnia na jedną osobę nie mniejsza niż 9 m kw., dwa punkty oświetleniowe, łączna moc oświetlenia 180 W, radio, nie w amfiladzie..." pokój jednosobowy 55 zł za dobę. Ba!...

Lepiej jest z mieszkaniami wynajmowanymi w blokach. Ale Bełchatów cierpi głód mieszkaniowy okrutny. Wprawdzie przed sześciu laty nieco się tu zmieniło, decyzja o inwestycji bełchatowskiej wpłynęła ożywczo na proces rozbudowy, ale tu na mieszkanie człowiek spoza budowy będzie czekał dużo dłużej niż jego kolega w Łodzi, Zgierzu czy Tomaszowie. Już teraz mówi się o wydłużeniu okresu czekania do dziesięciu lat i jest to wynik industrializacji tych terenów, zwiększonego niezmiernie zapotrzebowania na ludzi. To są profity wielkich budów.

MAŁGORZATA KARBOWIAK

Fot.: W. Parys

REPORTAŻ

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

DOLAROWY SKOK

Żelazne wrota zakładu karnego otwarły się przed Kazimierzem R. po pięcioletniej odsiadce, za różnego rodzaju włamania i kradzieże dokładnie tego samego dnia, w którym otwarto w Kutnie okazały salon Peweksu, na pierwszym piętrze pawilonu mieszczącego w parterowej części warsztaty usługowe Spółdzielni Wielobranżowej. Kazimierz R. rozkoszował się wolnością. Kutnowianie cieszyli się, mogli bowiem wreszcie upłynniać dolarowe nadwyżki w znakomicie zaopatrzonym sklepie...

Kilka miesięcy wcześniej ten sam zakład karny opuścił Leszek G. Także po odsiedzianych pięciu latach, za wspólne zresztą z Kazimierzem R. kryminalne wyskoki.

Fakt odzyskania wolności przez obu panów do tej tylko chwili pozostaje bez związku z otwarciem Peweksu. Bo oto w pierwszym dniu działalności tej placówki, Leszek G. stanął przed ladą i nadziwić się nie mógł, ileż to wspaniałości nagromadzono na półkach. Gdy tylko nadarzyła się okazja przywiódł do Peweksu przyjaciela, Kazimierza R. Ten — jęknął z zachwytu na widok stosu złotawych puszek z piwem holenderskim. Był bowiem rasowym piwoszem.

— O tym nie wolno nam zapomnieć — powiedział do kolegi. — Och, ty panie! Holenderskie jajco...

Tak narodził się pomysł „dolarowego skoku".

Kazimierz R. i Leszek G. nie mogli spokojnie przejść obok sklepu Peweksu. Bywało — wchodzili do środka. Ale tylko po to, żeby poobserwować systemy zamków, rozmieszczenie towarów, drogi ewentualnego dostania się pod osłoną nocy. Penetrowali też możliwości sprawnej ewakuacji tylu dóbr doczesnych po załatwieniu sprawy. Bo sprawa spać im po nocach nie dawała.

Leszek G., który po wyjściu z więzienia zatrudnił się w warsztatach szkolnych jako ślusarz, zobowiązał się zrobić drabinkę linową, niezbędną do zamierzonej operacji. Włamywacze postanowili bowiem przedostać się przy pomocy drabinki z dachu, po zewnętrznej stronie budynku do okien sklepu.

GODZINA ZERO

Sobota, 29 listopada 1975 r. Mieszkanie kutnowskiego Cygana M. Stół zastawiony butelkami z wódką i piwem. Biesiada trwa od godzin obiadowych. Po wypiciu sporej ilości płynów od stołu powstał Kazimierz R.

— Wybiła godzina, która z biednych uczyni bogaczy — powiedział.

Ruszyli po złote runo.

Na dach budynku dostali się bez większego trudu. Po drabinie pożarowej dotarli do klatki schodowej, wyłamali drzwi do sklepu i z nabożeństwem spojrzeli na wszelkie dobra tego świata, wreszcie — tak bliskie.

Kontakt z wielką Europą pierwszy nawiązał Kazimierz R. Na jednym tchu wypił dwie puszki holenderskiego piwa. Nie pozostał w tyle Leszek G. Dopiero kiedy na podłogę spadła dziesiąta puszka po piwku, obaj panowie przypomnieli sobie, po co tu przyszli. Pod ścianą magazynu stała duża, ciężka szafa pancerna. Tutaj jednak, zbyt prymitywna w swej konstrukcji łyżka, była przedmiotem nadającym się co najwyżej do wstępnego opukania szafy.

— Wychodzimy — powiedział Kazimierz. — Trzeba poszukać lepszego sprzętu.

Wyszli z budynku tak jak weszli, pozostawiając pomieszczenia otwarte.

Dobrze nie wiadomo, skąd Kazimierz R. wiedział, że w pakamerze obok bocznicy kolejowej znajduje się metalowy łom. Faktem pozostanie, że trafił tam bezbłędnie i łom znalazł. Powrót do Peweksu nie zajął dużo czasu.

Była godzina druga w nocy, kiedy włamywacze przystąpili do demontażu kasy. Trudy niełatwej wcale roboty umilali sobie pociągając sowicie holenderskie piwko. Podniecający też był obrazek, który lada chwila ucieszyć miał ich oczy. Jak wielki był trud rozpruwania szafy niechaj świadczy fakt, że zanim szafa stanęła otworem, aż dwadzieścia pustych puszek po piwie walało się po podłodze Peweksu.

Kiedy już szafa była otwarta, obaj panowie przez dłuższą chwilę delektowali się widokiem banknotów w różnej walucie. Były tam dolary, marki RFN, ruble, dinary, korony czeskie forinty. Rabusie wyładowali banknotami dwa worki plastykowe po wyrzuconych uprzednio damskich bluzeczkach typu buclè. Do przyniesionego z dachu worka załadowali rajstopy, sweterki damskie, kupony materiałów i — oczywiście — kilkanaście puszek piwa. Wyprawę uznali za doprowadzoną szczęśliwie do końca.

Praca włamywacza nie jest lekka. Holenderskie piwo moc posiada należytą. Utrudzeni złodzieje postanowili udać się na zasłużony odpoczynek. W takim jak Peweks sklepie wyspać się można na czym tylko dusza zapragnie — na belach szyfonu, weluru, miękkich sweterkach. Wybrali jednak jugosłowańskie kożuszki po 130 dolarów sztuka, wymościli nimi posłanie i zasnęli snem głębokim. Obudzonych rabusiów przywitał zmierzch. Pora było się zbierać. Kazimierz R., przyodziany w kilka damskich bluzeczek, uzupełnił garderobę kurteczką z zamszu. Był gotów do drogi. Leszek G. zaczął gorączkowe poszukiwania swojej marynarki, tej w której tu przyszedł, a którą nieopatrznie zdjął przed snem. Na domiar złego bateryjka w latarce się wyczerpała i nijak było na „ciemny chwyt" wyczuć w stertach porozrzucanych po całym sklepie ciuchów, co peweksowe, a co Leszka G. Marynarka musiała być znaleziona, bo byłaby zbyt pięknym prezentem dla milicji.

Raz jeszcze Kazimierz R. wydostaje się z Peweksu, by dostarczyć nową bateryjkę do latarki. Wręcza mu ją wspomniany już w tej relacji Cygan M, z którego mieszkania dwadzieścia cztery godziny wcześniej wyprawa ruszyła. Kazimierz R. dwukrotnie przedefilował przez miasto ubrany w warstwę kolorowych sweterków damskich. Nie wzbudziło to jednak niczyjego zainteresowania. Dzięki bateryjce, marynarkę udało się już szybko odnaleźć. Włamywacze opuścili wreszcie miejsce przestępstwa, z którym tak trudno było im się rozstać.

JEDNODNIOWI MILIONERZY

Podzielono zdobycz. Każdy z rabusiów dostał nylonowy worek z banknotami. Podział reszty łupu odłożyli na później. Zanim co, Leszek G. zdecydował, aby worek ze skradzionymi rzeczami ukryć na terenie doskonale mu znanym: w szkole — pod stertą złomu.

Był 30 listopada, niedziela, godzina 20.30. Włamywacze, każdy ze swoim workiem pod pachą, poszli spacerkiem do cygańskiego wozu, gdzie zamierzali spędzić noc...

DOLAR ZOSTAWIA ŚLADY

Nazajutrz, na biurku dyżurnego oficera KM MO w Kutnie zadzwonił telefon. W słuchawce dał się słyszeć podniecony głos kierownika Peweksu, który meldował o włamaniu do sklepu. Na miejsce włamania udała się ekipa operacyjna milicji. Wszystko zaczyna się teraz dziać w błyskawicznym tempie.

TECHNIK DOCHODZENIOWY ZANOTOWAŁ:

„Na regale w sklepie znaleziono latarkę z wyprowadzonymi na zewnątrz dwoma przewodami. W rogu pomieszczenia znajduje się legowisko zrobione z kożuchów, z wyraźnymi odciskami dwóch postaci. Na zewnątrz budynku, przy okratowaniu znaleziono drobny bilon w centach amerykańskich".

SIERŻANT MO JÓZEF SZYMAŃSKI ZAMELDOWAŁ:

Widziałem w dniu 29 listopada około godziny dwudziestej dwóch znanych mi mężczyzn. Byli to Kazimierz R. i Leszek G. Obaj szli w kierunku sklepu Peweks.

MAŁŻEŃSTWO W., MIESZKAŃCY POSESJI POŁOŻONEJ NIEDALEKO PEWEKSU:

Wchodziliśmy do mieszkania, kiedy na teren naszej posesji weszli dwaj ludzie. Jeden wysoki, drugi — niski i szczupły. Usiedli na ławce w ogrodzie, a zaraz potem odeszli. Mieli ze sobą spory worek.

NOTATKA MILICYJNA:

W miejscu wskazanym przez małżonków W., którzy widzieli wieczorem dnia 30 listopada dwóch ludzi, obok ławki na której siedzieli znaleziono banknot pięciodolarowy.

ZEZNANIA PRACOWNIKÓW WARSZTATÓW SZKOLNYCH SZKOŁY im. GAGARINA W KUTNIE:

Latarka z wyprowadzonymi przewodami używana jest w naszych warsztatach do sprawdzania przepływu prądu w obwodach zamkniętych. Dostęp do takiej latarki ma również Leszek G.

RODZICE LESZKA G. I MATKA KAZIMIERZA R. POWIEDZIELI:

Nasi synowie nie nocowali w domu w nocy z 29 na 30 listopada, ani też następnej nocy. Nie wiemy, co się z nimi dzieje.

TYMCZASEM WŁAMYWACZE:

Po przespanej w cygańskim wozie nocy postanowili „załatwić" sobie alibi. Pojechali okazyjnie zatrzymanym samochodem do Piątku. Później — autobusem do Łodzi. Do Kutna wrócili po obiedzie. W kilka godzin później wynajętą taksówką ponownie odbyli wycieczkę do Łodzi, skąd pociąg zawiózł ich do Opola. Tutaj u znajomego Cygana — pasera postanowili upłynnić posiadaną walutę. Aby jednak mieć dowody, że do Opola przywiodły ich sprawy najzupełniej prywatne, nic z włamaniem nie mające, udali się po zakupy. Leszek G. zakupił przyjacielowi w domu towarowym elegancką czapeczkę oraz nie mniej efektowną kurtkę ortalionową. Panowie skrupulatnie zachowali wydane im przez kasę paragony.

Do Kutna powrócili nocą. Postanowili spędzić noc u ciotki Leszka G. Ta nie była zaskoczona późną wizytą. Wiele już razy bratanek nocował u niej z różnymi swoimi kolegami. Był wczesny ranek, kiedy do drzwi mieszkania ciotki zapukano. Kto tam? — zapytała zaskoczona niewiasta. — Milicja — usłyszała w odpowiedzi. Leszek i Kazimierz, nie namyślając się długo wskoczyli do szafy.

Nie była to jednak szafa pancerna i otworzyć ją było nader łatwo. Dwie minuty wystarczyły milicjantom na wyłuskanie delikwentów spomiędzy ciotczynych peniuarów.

W kieszeni Leszka G. znalazł się jeszcze dwudziestodolarowy banknot, a w kieszeni jego przyjaciela — kilka jugosłowiańskich dinarów.

Dwadzieścia cztery godziny operowali włamywacze w kutnowskim sklepie Peweksu. Dwadzieścia cztery godziny trwały działania grupy operacyjnej MO. Sąd Wojewódzki w Płocku na remis się jednak nie chciał zgodzić.

Pokonani w tej grze będą mieli zapewne sporo czasu aby pomarzyć o piwku, niekoniecznie holenderskim, w złoconej puszce, ale zwykłym choćby, krajowym, z kufla.

FESTIWALE

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

JEDŹ NA FESTIWAL I MIEJ USZY OTWARTE...

Szczęśliwie dobiegł już końca tegoroczny sezon festiwali piosenki. Gdyby tak zebrać wszystek atrament, jaki o tych piosenkarskich spotkaniach w naszym kraju wypisano, i wylać go do Bałtyku, to z pewnością Czechosłowacja miałaby dostęp do morza. Trudno wytłumaczyć, dlaczego tak wiele miejsca poświęca się na łamach prasy temu właśnie zjawisku...

— Wie pan, piosenka musi być z miejsca pisana na hit. Bo tu wszystko wchodzi w grę: i tekst, i muzyka, i aranż. Przede wszystkim aranż.

— Ale jak tekst będzie skomplikowany, to publiczność tego nie kupi i tak.

— Jasne. Słowa muszą być proste i muzyka też, taka wpadająca w ucho. Taka trochę pod Krajewskiego...

Jeździ człowiek na festiwale od paru lat. Coraz częściej — jeżeli nie chce się przeoczyć tych wydarzeń. Wsiada człowiek do pociągu, jeśli nie dorobił się własnych czterech kółek, i jedzie. Do Kołobrzegu czy Bratysławy to i całą noc. Czasem trzeba po przyjeździe na miejsce wyjaśnić parę spraw związanych z przyznaniem akredytacji, kilka nieporozumień w kwestii zakwaterowania...

— Gdzie pana zakwaterowali?

— W Grandzie. A pana?

— To z kim pan załatwiał? Ja w tym schronie. Panie, te akademiki to nie nadają się dla nas ani do pracy, ani do mieszkania. A w dodatku wszędzie stamtąd obłędny kawał.

Później zostawia się bagaże, doprowadza się człowiek do stanu używalności, wyciąga z walizki notes i... czas iść na konferencję prasową. Oczywiście, warto jeszcze najpierw sprawdzić, gdzie i o której się ona odbywa.

Wychodząc z hotelu (czy — pseudohotelu) należy już zacząć przygotowywać się do słuchania. I to nie tylko piosenek. Także dialogów, które mogą być wielce pouczające i dają niejednokrotnie więcej do myślenia niż niejeden koncert. Jakże często zauważamy to na konferencjach prasowych...

—... a więc nagrodę tę przyznamy za najlepszy debiut na festiwalu. Niekoniecznie musi to być debiut piosenkarski...

— A może być dziennikarski?

Interesujące są również uwagi i spostrzeżenia...

— Dotkliwie daje się odczuć brak zimnego bufetu.

— Biorąc pod uwagę poziom dyskusji, chciałbym zapytać, jakie hobby ma pan Krawczyk? (to na konferencji „Tonpressu").

— Przedstawiciel wytwórni — nomen omen — „Trema" zgubił się zupełnie — stwierdził kierownik muzyczny imprezy — i po cancie zapomniał, że ma przygrywkę na gitarze. Dyrektor Debich się zorientował i chciał to przeskoczyć (rozumiem go, bo ja bym też tak zrobił), ale Francuz nie wiedział o tym, że oni chcą przeskoczyć i myślał, że orkiestra nie przeskoczy. A Debich z orkiestrą przeskoczył, a kiedy ten piosenkarz to zauważył to było już za późno; i tak się szukali aż do końca piosenki.

Przewodniczący jury: Ale niech pan mówi konkretami!

Dziennikarz: No właśnie mówię.

Przewodniczący jury: Pańskie konkrety to nie konkrety.

Jedno z najbardziej konkretnych z bezpośrednich pytań zadała tymczasem dziennikarka z Warszawy podczas inauguracyjnej konferencji prasowej tegorocznego festiwalu w Sopocie: „Doszły nas słuchy, że ten festiwal jest ostatni. Czy to prawda?". Jako ciekawostkę dodam że odpowiedziano negatywnie.

Zdarzyła się również taka sytuacja dialogowa:

— Tyle ja miałem do powiedzenia jako gospodarz. A teraz proszę o pytania przyrzekając, że żadne nie pozostanie bez odpowiedzi. Zresztą zebraliśmy się tutaj po to, by udzielić państwu wszystkich informacji na interesujące państwa tematy.

— Pragnę zapytać, dlaczego pańska firma itd.

— Niestety, na to pytanie nie mogę panu odpowiedzieć, bo przecież nie możemy zdradzać konkurencji naszych planów.

I tego typu odpowiedzi powtórzyły się jeszcze tego dnia wielokrotnie.

Najlepsze pytanie zadane na wolnym powietrzu (nagrodzone zresztą dwusinglowym albumem) padło pod adresem Krzysztofa Krawczyka na imprezie w muszli koncertowej przy sopockim molo: „Ile pan ma żon?".

Wystarczy wyjść do miasta, najlepiej po zakupy, by przekonać się, iż całe miasto żyje festiwalem. Nawet ekspedientki w domu handlowym...

— Wiesz, wczoraj kupował u mnie ten, ten, no — Łazuka.

— Kto?

— Łazuka. Oj, co ja mówię? Nie, nie Łazuka, tylko ten — Rosiewicz.

— Aaa, Rosiewicz. On jest fajny, nie? A u mnie...

...nawet taksówkarz zobaczywszy znaczek festiwalowy na piersi niefortunnego przechodnia...

— No i gdzie leziesz, ty lebiego festiwalowa. Słuch to ty może i masz, ale chodzisz jak ślepy.

— Nie ma. (a spoglądając na plakietkę). A dla pana to się znajdzie. Pan z festiwalu, prawda?

Trzeba jednak odnotować, że zdarzają się i przeciwnicy festiwalowego szaleństwa...

— Niech pan zobaczy co tej hołoty się najechało.

Najwięcej szumu i bałaganu jest zawsze w festiwalowym centrum. W Opolu mieści się ono — przykładowo — w hotelu „Opole", w Kołobrzegu jest to „Skanpol", w Sopocie zaś „Grand-Hotel", do którego trudno się przecisnąć przez tłum łowców autografów...

— Proszę nam podpisać...

— I mnie, mnie...

— I mnie też...

— Słuchajcie, ja naprawdę nie jestem stąd, ja nie mam nic wspólnego z festiwalem. (Powiedział kiedyś, bodaj w Opolu, Andrzej Rosiewicz: Ja tu tylko sprzątam — i wystąpił z miotłą).

— Eee... Pani żartuje. Tutaj jest pani zdjęcie.

— Moje? Gdzie?

— A tu.

— Nie, to nie moje. To jest Ewa Śnieżanka.

— A to pani nie jest Śnieżanka??? I za chwilę...

— Można prosić o autograf?

— O zobaczcie, tam stoi Ania Janiar. Ona wam da autografy.

— Ją już mamy. Chcemy od pana. ...a z boku...

— Ty! Masz tę Murzynkę? Bo ja mam jej pięć autografów.

— A ja mam tego Anglika, tego w jasnym garniturze. Zamienimy się...?

— Cicho! Wychodzą...

Gdy znajdzie się chwila wolnego czasu to można usiąść w kafeterii, zamówić kawę i... znów posłuchać.

— Yes, yes. Niech pan mu powie, że jesteśmy najlepsi. Mybest in Poland. Niech pan mówi... Tak.., Nasza płyta jest w biurze festiwalu; mogę mu ją pokazać. Niech pan mu powie, że jestem upoważniony do podpisania umowy. Co? Dlaczego nie może dzisiaj...? Jak to — to on chce oglądać nasz program? Niech pan mu powie...

Tymczasem przy drugim stoliku...

— Powiemy mu?

— Nie, poczekamy aż sprawa będzie całkiem pewna. Wiesz, ta zaliczka, którą weźmiemy, to idzie do podziału... ...i przy następnym...

— Słyszał pan? Tego Murzyna zaangażowali do knajpy na polskich stawkach, na dwa miesiące. Podobno jeszcze się ucieszył.

To jeszcze nic. Padnie pan, jak panu powiem, że moja żona podpisała tutaj tyle kontraktów, co wszyscy inni razem wzięci.

Opuszczamy to przytulne miejsce i wpadamy na moment do telecentrum, skąd — w stukocie dalekopisów — dobiega pytanie:

— Kolego, jak się pisze „biznes".

— Normalnie, kolego, po angielsku. Ale to nieważne; ważne jak się go robi.

Przed południem, gdy dopisuje pogoda, warto zajrzeć także na próbę do amfiteatru, gdzie zbiegają się wszystkie ścieżki bezpośrednio festiwalem zainteresowanych. Tam właśnie — i w czasie prób, i w czasie trwania koncertu, tyle że za kulisami — trwają żywe dyskusje na temat festiwali i ich przyszłości.

— Jak tam festiwal? Jak pan odbiera?

— Wydaje mi się, że największą zaletą tegorocznego festiwalu jest ładna, słoneczna pogoda.

Załatwia się również prywatne rozmowy.

— Jaki wasz zespół ma pobór prądu?

— Jeden kilowat.

— Słabo. My będziemy mieli półtora. Czasem wtrąci swoje trzy grosze reżyser imprezy.

— Pst! Ciszej panowie, do cholery, bo nie słyszę, co tam oni wyśpiewują.

Spotyka się też czasem kogoś spośród tych, którzy osłaniają estradę, by inni mogli śpiewać.

— Festiwal upada — mówi porucznik KMMO w Sopocie. — Dawniej to w czasie festiwalu było w nocy pięć, sześć czasem siedem włamań. A teraz — jedno, dwa. Bywa, że wcale.

Wykonawcy biegają częstokroć, jak opętani.

— Słuchajcie, czy nie macie mojego długopisu?

— Stary, wyjdź na widownię, to mi powiesz, jak wypadłem.

— Misiu, popraw włosy. Wychodź już. Wychodź!

Również i koledzy po piórze, którzy zazwyczaj siedzą razem zgrupowani i wzajemnie zaglądają sobie w notatki (ja na szczęście takowych nie sporządzam), nie ociągają się i coraz to któryś z dziennikarzy wygłasza jakieś złote myśli.

— Wie pan — tutaj to jest tak. Oni przysyłają swoich z nadzieją, że my coś kupimy. Ale my nie mamy dewiz, więc nic nie kupujemy. To oni też od nas nic nie kupują. I wyjeżdżają. I przyjeżdżają znowu za rok.

— Jak byś był juniorem to co byś zrobił?

— Zrezygnował.

— Patrz pan — koniec świata! Turek klaszcze Grekowi.

— Wiecie chyba, że ja mam własną koncepcję festiwali, ale nie mogę jej wyjawić, bo wtedy nie mielibyśmy się gdzie spotykać.

Siedzi człowiek na tych koncertach — i słucha. Wychodzi — i słucha. Je, śpi, rozmawia — i cały czas słucha dialogów, monologów, wywodów.

Od paru lat noszę się z zamiarem zabrania ze sobą na festiwal małego reporterskiego magnetofonu. I uruchamiania go w odpowiednich momentach. A później można by napisać jedyny w swoim rodzaju materiał o takim a takim festiwalu. Nie podsumowanie — ale festiwal w dialogach.

Może kiedyś spełni się to moje zamierzenie. Choć na pewno nie w tym roku.

U PRZYJACIÓŁ ZSRR

Wybitny pisarz radziecki i działacz społeczny MIKOŁAJ TICHONOW kończy wkrótce 80 lat. Z tej okazji został powołany wszechzwiązkowy komitet jubileuszowy w skład którego weszli przedstawiciele związków twórczych i wielu organizacji społecznych, który zorganizował wiele uroczystości w całym kraju jako wyraz hołdu dla twórczości pisarza i jego działalności na rzecz umacniania pokoju między narodami. Uroczystości jubileuszowe zakończy w grudniu br akademia w Teatrze Wielkim w Moskwie.

Nazwisko Tichonowa pojawiło się w literaturze w początkach lat dwudziestych. Jego wszechstronny talent pozwalał mu na uprawianie wielu gatunków literackich. Jest autorem dzieł poetyckich i prozatorskich, tłumaczonych na liczne języki narodów ZSRR i świata, sam także przełożył na język rosyjski utwory pisarzy Zakaukazia, Środkowej Rosji, radzieckich republik przybałtyckich. Do najlepszych utworów poświęconych drugiej wojnie krytyka zaliczyła dwie książki Tichonowa. „Opowiadania leningradzkie" i „Ognisty rok" — kronikę heroicznej obrony Leningradu. Pisarz — patriota żył i tworzył w oblężonym mieście, a także kierował działalnością kolegów-pisarzy w ciągu 900 dni blokady.

Po zakończeniu wojny Tichonow publikuje cykle wierszy, m.in. „Dwa strumienie", zbiór opowiadań „Sześć kolumn" i wiele innych utworów w których dominują problemy przyjaźni narodów i walka o pokój. W uznaniu wybitnych wartości ideowych i artystycznych dzieł Tichonowa pisarzowi zostaje przyznana Nagroda Leninowska i Państwowa. Tichonow jest także aktywnym uczestnikiem ruchu w obronie pokoju. Od 1949 r. przewodniczy radzieckiemu Komitetowi Obrońców Pokoju. Za zasługi w tej dziedzinie otrzymuje Międzynarodową Nagrodę Leninowską.

Senior radzieckich pisarzy nadal twórczo pracuje. Obecnie kończy książkę wspomnieniową, tworzy nowe wiersze.

☆ ★ ☆

W br akademickim w ZSRR do zajęć na pierwszym roku studiów przystąpiło w 859 wyższych uczelniach 4 miliony 860 tysięcy dziewcząt i chłopców. Wśród nich 22 tysiące studentów uczelni artystycznych — muzycznych, plastycznych, teatralnych oraz w instytutach kultury. Zgodnie z wieloletnią tradycją, na początku roku akademickiego wybitni twórcy-pedagodzy zwracają się z przesłaniem do młodzieży uświadamiając jej sens i cel poznawania tajników wybranego przez nich kierunku wiedzy. W tym roku na łamach czasopisma „Sowietskaja Kultura" wystąpił znakomity kompozytor i wychowawca kilku pokoleń muzyków — ARAM CHACZATURIAN. Oto fragmenty jego wypowiedzi:

„W rozwoju gospodarczym kraju niezbędna jest jakość pracy i jej wysoka efektywność, każdy dzień stawia przed nami w tym zakresie nowe zadania, wymogi i kryteria. Wszystkie te elementy odnoszą się w równej mierze i do twórczości artystycznej. Dla wielu młodych kariera pracownika sztuki wydaje się czymś wspaniałym. Widzą drogę ku szczytom sławy lekką i bezchmurną, utkaną z kwiatów, oklasków, pochwalnych recenzji i zachwytów wielbicieli. W istocie — przeznaczeniem twórcy, działaczy kultury jest pełen samozaparcia nieustanny trud. Zanim pianista czy śpiewak, aktor czy plastyk zdobędzie uznanie, czeka go nierównie wiele gorzkich chwil rozczarowań i niepowodzeń. Niezależnie od skali swego talentu musi przejść twardą szkołę rzemiosła artystycznego, opanować zawiłości jego techniki. Tylko cierpliwość, stanowczość i pełna zaparcia pracowitość mogą przynieść sukcesy."

Dalej w swym przesłaniu wybitny kompozytor-pedagog przestrzega młodych adeptów sztuki przed odgradzaniem się od „niepotrzebnych" przedmiotów, prac społecznych, podkreślając wagę tradycji kulturowej i więź ze współczesnością. Dzieląc się z młodzieżą swą bogatą wiedzą i doświadczeniem przestrzega także młodzież przed — „fascynacją dziwacznymi, oderwanymi od rodzimej gleby środkami artystycznego wyrazu, co niejednego już nawet utalentowanego twórcę zaprowadziło w ślepy zaułek. Chciałbym was uchronić — pisze A. Chaczaturian — przed dążeniem za wszelką cenę do „superoryginalności" i „supernowoczesności". Twórca musi sobie postawić wyraźny cel: dla kogo i w imię czego tworzy, co chce powiedzieć ludziom swoją sztuką, czego ich nauczyć. A jak powiedzieć i jak nauczyć — wyznaczają ideowe założenia twórcze."

CHILE

PONURY BILANS RZĄDÓW JUNTY

Największą niespodzianką ostatnich tygodni w Chile jest szybkość, z jaką Pinochet odzyskał miłość Waszyngtonu. „Nacisk" wywierany przez amerykański rząd na juntę nie trwał zbyt długo.

W kołach politycznych — pisze komentator „Le Monde" — uważa się, iż Waszyngtonowi zależało tylko na geście, żeby ułatwić sobie kontakty z chilijskim reżimem wojskowym. Tę „blitznormalizację" stosunków łatwo wyjaśnić: Amerykanie są przekonani, że w tej chwili nie może być mowy o zamienieniu Pinocheta na kogoś innego. Dlatego wyłaniający się problem o „alternatywie" w osobie Freia (przewodniczący senatu — red.) spadł z porządku dnia.

Chilijczycy znajdują się we władzy reżimu, pozbawionego jakiegokolwiek poparcia w narodzie, który personifikuje się coraz bardziej, przekształcając się w swego rodzaju „dyktaturę caudilla". Pinochet uosabia władzę wykonawczą, a inni członkowie junty — ustawodawczą — powiedział redaktor pewnej chilijskiej gazety. Żeby móc rządzić, Pinochet opiera się na tajnej policji DINA, odgrywającej rolę „karzącego ramienia jego partii politycznej". Dzięki DINA może Pinochet kontrolować wojsko.

Kształtuje się obecnie pewien ruch na podobieństwo frankistowskiego, do którego należą przeróżne „fronty": „front robotniczy", „młodzieżowy", „kobiecy", „front przedsiębiorców" itp. „Front robotniczy" obejmuje przywódców związkowych, wrogo nastawionych do robotników. Ma on znikomą ilość zwolenników wśród chłopów i robotników, ale potrzebny jest rządowi usiłującemu rozbić klasę robotniczą. Tylko funkcjonariusze „frontu" mają prawo wysuwania „żądań", w których oczywiście nie ma miejsca na żądanie prawa do strajku.

„Front młodzieżowy" pokazał swoje oblicze podczas sesji OPA (Organizacja Państw Amerykańskich — red.). Zorganizował on na szczycie góry Santa Lucia haniebny miting na cześć obu Ameryk, podczas którego rozpalono „płomień wolności". Kiedy generał Pinochet wyjeżdżał z pałacu „front młodzieżowy" zorganizował na trasie jego przejazdu powitalne zebrania. „Front" podlega ministrowi spraw wewnętrznych, innymi słowy — armii, którą dowodzi nie kto inny, tylko sam szef junty.

W końcu maja tego roku komendant akademii wojskowej, gen. Toro Davilia, został nieoczekiwanie rektorem Uniwersytetu Chilijskiego. Zaledwie objął swe obowiązki, już postawił wszystkie kropki nad „i", oświadczając 8 lipca: „Moja władza będzie się opierała na zasadach jednoosobowego kierownictwa i dyscypliny". W ten sposób cały zasób gorliwości skierował generał — rektor na kontynuację kolejnej czystki, rozpoczętej w Uniwersytecie w styczniu tego roku. Od tego czasu zwolniono z pracy 1 000 wykładowców i pracowników szkolnictwa wyższego. „Marksiści" zostali eliminowani już w 1973 roku. Później przyszła kolej na aktywistów partii chrześcijańsko-demokratycznej. Następnie, pod pretekstem redukcji etatów w związku z trudnościami finansowymi, pozbyto się „tych wszystkich, których nie można było nazwać, w najściślejszym tego słowa znaczeniu, zwolennikami reżimu".

Jeszcze kilka miesięcy temu dwa skrajnie prawicowe ugrupowania sprawowały kontrolę nad środowiskiem studenckim. Teraz i to należy do przeszłości. Uniwersytetem kieruje się obecnie jak jednostką wojskową.

Wszystko to przyśpieszyło „ucieczkę mózgów". Według danych kół uniwersyteckich, niegdyś skala tego zjawiska była o wiele skromniejsza niż w innych krajach latynoamerykańskich. W 1974 roku Chile straciło 10 procent swojej inteligencji i sytuacja w tej dziedzinie pogarsza się nieustannie.

Najpierw zaczęli opuszczać kraj inżynierowie i technicy, za nimi — lekarze, specjaliści z dziedziny nauk społecznych oraz uczeni zajmujący się badaniami podstawowymi. Oto kilka liczb z tych samych źródeł: kraj stracił 18 procent lekarzy i 30 procent inżynierów. Uniwersytet Chilijski utracił większość biologów, filologów, chemików, matematyków, fizyków. Spośród dwóch wydziałów fizyki, jeden w całości wyemigrował do Caracas. Niektóre dyscypliny nauki przestały praktycznie istnieć: immunologia, chirurgia klatki piersiowej, psychiatria, pneumologia, nauki społeczne. Z Uniwersytetu Katolickiego wyjechała za granicę ponad połowa biologów. Połowa pielęgniarek, które ukończyły szkołę pielęgniarską w Santiago w 1974 roku, w ciągu 1975 roku wyjechała za granicę.

Pogarda dla instytucji demokratycznych, będących jakoby przejawem „słabości" i „upadku", nawoływanie do obrony „świata chrześcijańskiego" przed „międzynarodowym marksizmem", zniszczenie systemu politycznego, który był dumą Chile, aspiracje do uformowania „nowego pokolenia", które będzie posłuszne rozkazom sztabu generalnego — oto co publicznie głosi Pinochet. To samo mówi na spotkaniach prywatnych.

U podstaw jego poglądów leży organizm państwowy, który w przeciągu dwóch lat przekształcił się w prawdziwą ośmiornicę, obejmującą swymi mackami wszystkie dziedziny życia w kraju. Wydatki junty i asygnacje na wojsko pochłaniają około 40 procent budżetu państwa. Chilijczycy mówią: „Żyjemy w państwie policyjnym, którego władcy śledzą swoich poddanych nawet za granicą".

Chrześcijańscy demokraci, którzy kiedyś rozpadli się na prawicę witającą przewrót i lewicę — potępiającą go, teraz przeszli do opozycji wobec reżimu. Wyjątek stanowią tylko poszczególni renegaci w rodzaju byłego ministra Juana de Diosa Garmony, który zgodził się wejść w skład rady państwowej, stworzonej niedawno przez liderów junty.

Bezrobocie zaostrza problemy głodu. W ciągu ostatnich dwóch lat arcybiskup Santiago wydawał w swojej diecezji dzieciom ponad 300 obiadów dziennie. Przez diecezjalną stołówkę przewinęło się 23 tysiące dzieci z odmrożonymi buziami, otrzymując swój obiad — najczęściej miskę wody z mąką. Jest to ich całe jedzenie w ciągu dnia. Jak wynika ze słów arcybiskupa, około 60 procent stołujących się tutaj dzieci cierpi na różne dolegliwości z powodu niedożywienia.

Brak słów, żeby przekazać całą grozę sytuacji w tym kraju, powstałej w wynkiu ekonomicznej polityki junty. Związki zawodowe są sparaliżowane, przypominające samochód pozbawiony silnika. Wyborów przeprowadzić nie wolno, zebrania można odbywać za zezwoleniem władz, strajki są zakazane, zawieranie umów zbiorowych zastąpiono odgórnym, „automatycznym" rozstrzyganiem sporów o płace.

Na wsi junta zlikwidowała spółdzielnie, przydzielając każdemu chłopu skrawek ziemi, z zamiarem uczynienia z nich drobnych posiadaczy. Na 61 tysięcy chłopów objętych tą „reformą" w 1973 roku, 19 tysięcy otrzymało działki, reszta ma dostać ziemię w przeciągu dwóch lat. „Marksiści" ziemi nie otrzymają. Byli właściciele latyfundiów powracają do swoich majątków.

„Celem junty — jak mówi pewien specjalista do spraw agrarnych — jest stworzenie rynku ziemią. A zatem systemu, przy którym ten, kto nie wytrzyma konkurencji, będzie zmuszony sprzedać swoją działkę..."

W pierwszej połowie tego roku inflacja w Chile osiągnęła 11 procent miesięcznie. W 1976 roku rząd chilijskich generałów musiał zapłacić 730 milionów dolarów z tytułu pokrycia długów zagranicznych. Przewiduje się spadek urodzaju do bardzo niskiego poziomu z roku 1930, wskutek zmniejszenia się powierzchni zasiewu. Brak kredytów, brak jednolitej polityki cen, spadek ekonomiczny — wszystko to doprowadziło do gwałtownego pogorszenia sytuacji w kraju. W ubiegłym roku wartość globalnego produktu narodowego zmniejszyła się o 15 procent.

Trzy lata rządów junty doprowadziły kraj do ruiny. Tysiące Chilijczyków zginęło w katowniach DINA, tysiące musiało uciekać z kraju, ekonomikę znów oddano na łup zagranicznych monopoli i rodzimej oligarchii. Mimo represji naród chilijski nie złożył broni a ruch solidarności z walką narodu chilijskiego krzepnie we wszystkich krajach świata.

JERZY CZECH

OGÓLNA TENDENCJA I DZIWNE PRAKTYKI
PO CO PODRÓŻUJE KISSINGER?
WSPÓŁPRACA TAKŻE W KOSMOSIE

Wprawdzie już dawno w polityce światowej nie ma wakacji, jednak **okres jesienny zawsze zagęszcza wydarzenia.** W niektórych krajach — w Stanach Zjednoczonych i RFN — przyniesie on wybory, na forum międzynarodowym — żeby wspomnieć tylko o kolejnej sesji ONZ, czy wznowieniu rokowań wiedeńskich, a także SALT II — ważne dyskusje.

Wszystkie wydarzenia — i te w wymiarze jednego kraju i te ogólniejsze — będą wywierały wpływ na bieg procesu odprężenia. Jaki? Tę właśnie odpowiedź przyniosą nadchodzące tygodnie.

Ogólną tendencją w świecie jest rozszerzanie pokojowego, aktywnego współżycia. Jednakże tej prawidłowości towarzyszą również fakty przeciwne. Czasem dlatego, że jeszcze funkcjonują w mechanizmie stosunków międzynarodowych pozostałości minionego okresu — okresu „zimnej wojny", czasem dlatego, że są one świadomie wprowadzane do praktyki przez przeciwników pokojowej współpracy. Ta druga sytuacja jest bardziej niebezpieczna. Ujawnia fakt, że zwolennicy polityki napięć stanowią jeszcze siłę.

Na pewno nieoczekiwane zdarzenie, o którym ostatnio doniosła agencja TASS, wylądowania — po utracie orientacji co do położenia — radzieckiego samolotu wojskowego w Japonii, nie miałoby następstw, **gdyby władze japońskie kierowały się w swym postępowaniu dobrą wolą.** Z komunikatu TASS, podanych tam faktów — wynika, że tej w Tokio zabrakło.

Piszemy o tym jako o przykładzie niestosowania jeszcze w praktyce przez niektóre państwa zasad obowiązujących w dobrosąsiedzkich stosunkach. Wchodzimy w drugą jesień po Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, której Akt Końcowy, uznany za wielką kartę pokoju na naszym kontynencie, powinien stać się zachętą do regulowania spraw także poza starym lądem.

Do faktów, które nie sprzyjają pokojowemu współżyciu państw, trzeba zaliczyć również **amerykańskie weto wobec przyjęcia Socjalistycznej Republiki Wietnamu do ONZ.** W rezultacie Rada Bezpieczeństwa postanowiła odłożyć rozpatrzenie wniosku SRW do listopada.

Zauważmy, że już w ub. roku Stany Zjednoczone sprzeciwiły się przyjęciu obu wówczas istniejących państw wietnamskich. Teraz jednak posłużono się innym pretekstem niż wtedy — zdaniem USA rząd Wietnamu nie wywiązał się ze swych zobowiązań na temat wyjaśnienia losów Amerykanów, zaginionych w czasie wojny. W istocie chodzi o coś innego — **niechęć waszyngtońskich kół politycznych do kraju, który nie dał się pokonać** i dziś, już zjednoczony, może mieć ważki głos w niedopuszczaniu do różnych form neokolonializmu. Innym powodem „nie" jest z pewnością także próba wycofania się z obietnicy pospieszenia z pomocą w odbudowie Wietnamu, do czego Waszyngton został zobligowany porozumieniami paryskimi.

Komentatorzy zastanawiają się, jak ten sprzeciw może odbić się na pozycji prezydenta Forda w kampanii wyborczej i dochodzą najczęściej do wniosku, że może mu po prostu zaszkodzić.

W kontekście wyborów ocenia się także dwutygodniową podróż sekretarza stanu — Henry Kissingera do południowej Afryki. Co go tam sprowadza? Czy jakaś nowa misja? Właśnie. „Misja dobrych usług" — jak pisze prasa amerykańska, czyli szukanie pokojowych rozwiązań „problemów współżycia rasowego".

W Republice Południowo-Afrykańskiej od pewnego czasu dochodzi do ostrych starć, są ofiary śmiertelne. Ludność murzyńska domaga się nie tylko całkowitej likwidacji apartheidu, ale i dostępu do władzy. Obawy Stanów Zjednoczonych sprowadzają się do tego, że szybko może nastąpić radykalizacja południowej części Afryki, a w ślad za nią wypadnięcie jej z orbity świata zachodniego. Kissinger sądzi, że podważałoby to równowagę sił. Szuka więc możliwości złagodzenia sytuacji w rejonie, w którym obecnie są aż trzy ogniska konfliktowe (wspomniana RPA oraz Rodezja i Namibia). Czy przywiezie stamtąd jakieś nowe atuty wyborcze dla republikanów? Pytanie to — jeszcze bez prób odpowiedzi — powtarzają wszyscy obserwatorzy afrykańskiej podróży Kissingera, dostrzegając w niej ten właśnie aspekt.

Tyle o niektórych wydarzeniach tygodnia na Ziemi. **Jednym z wydarzeń w Kosmosie jest lot „Sojuza 22", statku, który wyposażony został w supernowoczesną kamerę.** Przy jej pomocy portretuje się nasz glob, a ściślej mówiąc obszary ZSRR i krajów współpracujących w eksperymencie. Celem jest pełniejsze poznanie struktury budowy Ziemi i jej zasobów.

Dlaczego ten lot odnotowujemy w przeglądzie międzynarodowych aktualiów? Gdyż kosmiczna podróż „Sojuza 22" jest przykładem współpracy krajów socjalistycznych w wykorzystywaniu przestrzeni kosmicznej w celach pokojowych. Na pokładzie statku pracują urządzenia wytworzone w NRD.

Przypomnijmy, że w myśl niedawno osiągniętego porozumienia w ZSRR szkolić się będzie kosmonautów z krajów socjalistycznej wspólnoty.

W. SŁAWSKI

TELEWIZJA

CO W TEATRZE?

W teatrze bardzo wiele. Co prawda sezon w telewizji nie ma nic wspólnego z tradycyjnym sezonem teatralnym, ale właśnie siłą tradycji i na szklanym ekranie teatr aktywizuje się we wrześniu.

Interesująca była premiera widowiska wg powieści Juliana Kawalca „W słońcu", zrealizowana przez Augusta Kowalczyka. Proza Kawalca — wybitnego reprezentanta nurtu wiejskiego w polskiej literaturze współczesnej — często trafia do Teatru Telewizji. Widowiska: „Toporny" wg „Tańczącego jastrzębia" w reżyserii Grzegorza Królikiewicza i „Szara aureola" w reżyserii Tomasza Kijańskiego — wzbudziły duże zainteresowanie widzów i krytyki.

„Stary, Głupi i Anioł" — to najnowsza premiera w tym ciekawym „festiwalu Kawalca". Tematyka także z kręgu spraw wiejskich, problemy aktualne dla współczesności — a mianowicie przystosowanie się wiejskiej rodziny do życia w mieście. Ów wybór miejsca na ziemi nie był tu wyborem wolnym, to była konieczność. Ziemię rodzinną bohaterów pochłonęło rozbudowujące się miasto, to miasto wchłonęło ową małą wiejską społeczność wraz z jej obyczajowością. A wieś i miasto to przecież dwa odrębne kręgi moralno-obyczajowe.

Tę odrębność przeżywają najdramatyczniej właśnie ci, którzy tę granicę muszą przekroczyć, dla których to przejście nie jest wolnym wyborem lecz koniecznością.

W spektaklu Augusta Kowalczyka piękną, dramatyczną rolę kreował Tadeusz Fijewski, aktor już dawno na ekranach TV nie oglądany. Była to piękna rola i rzec można, że obok Juliana Kawalca, który napisał powieść i Augusta Kowalczyka, który zrealizował widowisko — współtwórcą sukcesu Teatru Telewizji jest właśnie Tadeusz Fijewski.

Na marginesie zanotujmy wypowiedź Augusta Kowalczyka, dyrektora Teatru Polskiego, który tak określił swoje założenia ideowo-artystyczne: „Podstawą tych założeń jest zainteresowanie współczesną dramaturgią. Maciej Z. Bordowicz reżyseruje obecnie swoją kolejną sztukę pt. „Specjalność zakładu", Wiesław Myśliwski przygotowuje dla nas „Klucznika i Pana", myślimy także o wystawieniu sztuki Stanisława Grochowiaka. Henryk Czarnecki, autor scenariusza znanego filmu telewizyjnego „Profesor na drodze", będzie miał u nas swój debiut teatralny".

Z przyjemnością odnotowujemy kolejny sukces łódzkiego pisarza, wyrażając tylko niejakie zdziwienie, że tak trudno sztukom łódzkich twórców trafić na łódzkie sceny. Ale to już osobna historia.

W Teatrze Małych Form TV również interesujące widowiska. A więc poemat Stanisława Grochowiaka „Allende" w wykonaniu Zofii Rysiówny, w reżyserii Joanny Wiśniewskiej. To w programie drugim.

W programie pierwszym natomiast Teatr Małych Form przedstawił „Odwiedziny o zmroku" Tadeusza Rittnera. Ten czołowy autor młodopolskiego dramatu, znany jest z takich utworów, jak „Głupi Jakub" czy „W małym domku". Jak wiadomo, ciekawe i nastrojowe sztuki Rittnera gościły już wiele razy na szklanym ekranie.

Tym razem Maryna Broniewska przygotowała jednoaktówkę „Odwiedziny o zmroku". Akcję widowiska przeniesiono w telewizyjnej realizacji w lata dwudzieste, ale nastrój, ciepło i urok oryginału pozostały. Osią fabuły stało się nieoczekiwane, przypadkowe spotkanie dwojga ludzi. Piękna Pani, znudzona swym bogatym przyjacielem i wszystkim, co ją otacza. On — Pan w żałobie, ulegający stopniowo nastrojowi sytuacji i sile kobiecego uroku. Zawiązuje się między nimi osobliwy związek, nietrwały jak zmrok, na tyle jednak intensywny, że mieści w sobie i uczucie smutku, i radości, i miłości.

Jak więc widać miniony tydzień był dla Teatru Telewizji pięknym, udanym wejściem w teatralny sezon.

TELEMAN

POWIEŚĆ W ODCINKACH (7)

bohater na ośle

MIODRAG BULATOVIĆ

Rys. J. Szymański — Glanc

Podniósł oczy i spostrzegł, że niebo jest puste i rozżarzone do białości, że dachy są nagie i zmurszałe, okna za drewnianymi kratami milczące i nie ma w pobliżu nikogo, komu mógłby się poskarżyć. Gwałtowny skurcz wykrzywił mu twarz, wykręcił szyję. Wstrząsany płaczem, wyciągnął się na ziemi. Nie wiedział nawet, że zębami gryzie twarde, spieczone grudy. Niebo nad nim zamykało się coraz bardziej. Zdawał sobie sprawę jeszcze tylko z tego, że gdzieś w pobliżu pachnie rakiją, że niebo coraz bardziej ciemnieje, a całe grona gwiazd spadają prosto w pył — do czapki chłopca.

☆ ★ ☆

Działa huczały coraz głośniej, ale pułkownikowi serce już nie rosło. Jadąc ostrożnie, wpatrywał się w modre zanadrza gór i ostre kamienne wyniosłości, sięgające samego nieba. Wiedział, że te góry, od których ciągnęło chłodem, pełne są uzbrojonych ludzi, a na samą myśl o spotkaniu z nimi krew ścinała mu się w żyłach.

Zbliżał się do polany, zamienionej w prowizoryczne lotnisko, i myślał, że rozsądniej byłoby zostać w domu, choćby z Mariką, narzeczoną Vittoria. Pokaszliwał nerwowo, nie bacząc na ludzi, którzy zbiegali się, aby na niego popatrzeć. Horacy stąpał noga za nogą, ale pułkownik bał się spiąć go ostrogami, choć pragnął czym prędzej dotrzeć do swego samolotu i zapomnieć o dziwnym lęku, sączącym się z gór.

Zsiąść z konia bez krzesełka też nie było łatwo. Porucznicy i żołnierze, którzy szybko podbiegli, żeby odprowadzić Horacego do cienia, patrzyli, jak ich dowódca zsuwa się z siodła niby worek. Marszczyli czoła, bo rozdymał ich śmiech.

Znalazłszy się wreszcie na ziemi, pułkownik odetchnął z prawdziwą ulgą. Odrzucił uzdę, szpicrutę ze skóry wołu i ruszył ku maszynie zieleniącej się pośrodku łąki. Był to mały, dwupłatowy samolot szkolny; zanim oddziały Fabianiego zajęły miasteczko, należał do jakiegoś towarzystwa sportowego. Pułkownik Fabiani obejrzał go i rychło o nim zapomniał; mieszkańcy miasteczka i chłopi zniszczyliby go i roznieśli, gdyby nie stał za drutami.

Wkrótce po odjeździe Fabianiego pułkownik Allegretti rozkazał poddać samolot gruntownemu przeglądowi — jeden z szoferów, Turiddu Barbagallo, którego pasją było kiedyś lotnictwo, zameldował, że maszyna jest w niezłym stanie i nadaje się do użytku. Wtedy pułkownik kazał ją pomalować, a przede wszystkim zetrzeć dotychczasowe znaki i numer. Zamiast nazwy „Dzielny Czarnogórzec" osobiście wymalował nową *„II Romano"* *. Z wyraźnym niesmakiem wszedł do środka i stwierdził, że samolot stał się o wiele okazalszy i groźniejszy. Chociaż nie miał już dawnej nazwy wypisanej cyrylicą, mieszkańcy miasteczka podziwiali zielonego orła, który znów szybował nad kominami.

Słońce i upał nie mogły uciszyć dział. Pułkownik Allegretti oparł się o wątłe skrzydło i spytał żołnierzy, czy wszystko jest w porządku.

— W porządku, panie pułkowniku — odpowiedział za wszystkich pięciu kapral.

— A więc można lecieć? — spytał pułkownik mrugając powiekami.

— Można, panie pułkowniku — powiedział kapral.

Rozejrzawszy się, pułkownik stwierdził, że polana, z której co dzień, zazwyczaj o tej właśnie porze, wzbijał się jego sokół, zabezpieczona została jeszcze jednym pasem zasieków z drutu kolczastego. Uważnie obejrzał skrzydła, kadłub i ogon samolotu i rozkazał, aby sprowadzono Barbagalla.

Przyuczonego pilota żołnierze szukali dłużej niż poprzednio Horacego. W końcu powiedzieli, że poszedł ochłapać się w rzece. Pułkownik obchodził samolot, oglądał go ze wszystkich stron.

Czule, gorąco kochał swego sokoła i nijak nie mógł zrozumieć, dlaczego ze sztabu wojsk lotniczych nie odpowiedziano na jego meldunek: zawiadomił ich, że oddziały włoskie w nadludzkiej walce z czarnogórskimi zdrajcami, nie ponosząc żadnych strat, zdobyły samolot szkolny typu takiego a takiego. Chociaż pismo było służbowe i ściśle tajne, a do sztabu zawiózł je specjalny łącznik, odpowiedź w ogóle nie nadeszła.

Wysłał jeszcze jedno pismo. Spodziewając się, że sprawa zostanie zreferowana generałom Sagoni i Mogni, dodał, iż w walkach o samolot zginęło trzydziestu czterech po zęby uzbrojonych Czarnogórców, a dwudziestu w tym ryzykownym starciu, wymagającym ogromnego poświęcenia, wzięto do niewoli.

Znów żadnej odpowiedzi — ani pisemnej, ani ustnej. Ilekroć pułkownik przypominał sobie tę niemiłą sprawę, wzdychał i zawsze z tą samą goryczą myślał: no tak, w sztabie roi się od szczurów kancelaryjnych, które zazdroszczą ci każdego zwycięstwa i wszelkich osobistych sukcesów. Bądź pewien — dodawał wzdychając — że nadal na każdym kroku będą ci robić różne utrudnienia i świństwa. Cóż, notuj sobie wszystkie swoje sukcesy, milcz i czekaj, aż ci ludzie zostaną odkomenderowani. Pewnego dnia twoje bohaterswo wyjdzie na jaw. A każda zasługa musi być uznana i nagrodzona.

Pomimo upału Turiddu Barbagallo dzwonił zębami. Mokry, w rozpiętym mundurze, blady i niepewny szedł do pułkownika, który od początku skrycie się go brzydził. Zatrzymawszy się tuż przy maszynie, chciał coś powiedzieć, lecz tylko wytrzeszczył małe, bezbarwne oczy i zająknął się. Pułkownik zrozumiał i rzekł:

— W porządku, Turiddu. Wszystko w porządku.

— Ale... panie pułkowniku...

— Przecież mówię, że w porządku. Możemy wsiadać?

Turiddu zaciął się na dobre; oczy i uszy nabiegły mu krwią.

— Możemy wsiadać?! — krzykiem, jak zazwyczaj, pułkownik przerwał jąkanie się Barbagalla. — Do samolotu, Turiddu, do samolotu. Możemy czy nie?!

— Możemy, panie pułkowniku — wykrzyknął uszczęśliwiony Turiddu. — Oczywiście!

Pułkownik zmierzył go spojrzeniem: szerokie szczęki, mocny ciemny kark, długie ręce i krótkie nogi.

— Więc idziemy, Turiddu.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— A benzyny starczy, Turiddu?

— Jeszcze na dziesięć albo jedenaście lotów, panie pułkowniku.

— Zuch z ciebie, Turiddu.

— Tak jest, panie pułkowniku.

Nawykli do podobnych rozmów, żołnierze wybuchnęli śmiechem. Śmiali się, i to na głos, gdy niezgrabny Barbagallo wciągał do samolotu zmieszanego pułkownika. Nie spoważnieli nawet wtedy, gdy rozklekotana maszyna oderwała się od ziemi i wzbiła nad zasieki i sady.

Horacy rżał.

Samolot wznosił się z szybkością chorego ptaka. Pułkownik patrzył, jak Turiddu sprawnie dotyka jakichś drutów i obraca gałki. Ogarniał go strach, więc żeby Barbagallo nie zauważył jego bladości, nieznacznie pocierał dłońmi policzki i czoło. Ale i ręce miał pożółkłe, zimne. Próbował otworzyć usta i powiedzieć cokolwiek, żeby odpędzić złe myśli. Kwadratowy Turiddu manipulował jednak przy sterach i kaszlał, tak że pułkownik nie mógł się odezwać i upewnić się w ten sposób, że jest zdrowy i cały.

Nie wiem, jaki czort mnie kusi, żebym wsiadał do tego straszydła — pomyślał. — W tych niepewnych i niemiłych czasach ludzie troszczą się o własne głowy i unikają najmniejszego ryzyka, a ja pcham się, jak wariat, prosto do grobu. Niech diabli porwą mojego „Rzymianina" i całe lotnictwo. Niech piorun spali wszelkie wojsko, nawet i włoskie. Do diabła z tym krótkonogim borsukiem, co się rozpiera tu obok i z dnia na dzień naraża mnie na śmierć.

Byli już nad miasteczkiem.

Dobrze znał te dachy sczerniałe od sadzy, te pokraczne kominy, te krzywe, brudne uliczki, prowadzące jakby do nikąd. Przelatywali nad cerkwią i nad meczetem, ale pułkownik bał się wychylić i zobaczyć, czy chodża wciąż jeszcze zawodzi i czy odsunęła się od prawosławnego dzwonu ta obrośnięta czarnogórska małpa.

— Widzisz coś, Turiddu?

— Ludzie, panie pułkowniku.

— A co robią, Turiddu?

— Zależy jak kto, panie pułkowniku. Jedni chodzą, drudzy stoją...

— A nie masz wrażenia, że zbierają się w grupki?

— Tak, panie pułkowniku. Pora już, więc idą do knajpy.

Motor buczał.

— Czy nie obiło ci się o uszy, że oni myślą o buncie? Wiadomo mi, że sporo się kręcisz i łazisz Bóg wie gdzie.

— Oni tylko biadolą, panie pułkowniku.

— A czy bardzo nas oskarżają, Turiddu? Przeklinają nas?

— Jak by tu powiedzieć, panie pułkowniku... przeklinają, nie da się ukryć, że przeklinają. Ale znowu zależy jak który. Są tacy...

— A co ty na to?

— Co ja mogę, panie pułkowniku. Sam pan wie, że nie mam prawie żadnej władzy, jak to zwykły żołnierz. Zdaje mi się, że byłoby inaczej, gdybym awansował. A tak, panie pułkowniku, to wszyscy mówią: Turiddu jest tylko szeregowcem, nie ma powodu go się bać; jego jakoś nie chcą awansować, i tak dalej.

Pułkownik patrzył na niego z ukosa, nie kryjąc obrzydzenia. Irytowały go chytre oczka Barbagalla i okrągłe usta, wokół których igrał zawsze ten sam uśmiech. Borsuk — pomyślał pułkownik — istny borsuk.

Podejrzany stukot silnika wyrwał go z tych myśli. Znowu zbladł i niespokojnie zaczął kręcić się na siedzeniu. Czuł, że lada chwila silnik stanie w ogniu i on, Spartaco Allegretti, nigdy już nie dotknie stopą ziemi.

— Wczoraj ci kazałem usunąć to uszkodzenie — powiedział i zrobiło mu się niedobrze.

— Ale tego uszkodzenia nie można usunąć, panie pułkowniku — odparł przytomnie żołnierz.

— A gdzież ono jest, Turiddu? — spytał gniewnie pułkownik, chowając do kieszeni coraz wyraźniej drżące ręce.

— Nie potrafię dokładnie powiedzieć — zaczął jąkając się żołnierz. — Ale z pewnością gdzieś w środku, panie pułkowniku, w motorze.

— A ty, ponieważ jesteś tylko szeregowcem, nie możesz go tak łatwo usunąć — zauważył pułkownik akcentując każde słowo. — Czy tak, Barbagallo?

— Niby tak, panie pułkowniku.

— Jeżeli do jutra usuniesz te podejrzane szmery i stuki, zostaniesz awansowany — wyszeptał pułkownik i w bujnej wyobraźni ujrzał swoje zniekształcone, zwęglone zwłoki.

— Zawsze dawałem z siebie wszystko, panie pułkowniku — oświadczył Turiddu Barbagallo i poczerwieniał.

Przelatywali nad rynkiem. Widać było maszt z flagami, czołg i żołnierza. Z tej wysokości żołnierze i cywile wydawali się malutcy. Pułkownik zawsze sobie pokpiwał z tych ludzików, patrząc z góry na ich głowy. Poruszali się, kłócili, rozkładali ręce, ale tym razem pułkownikowi Allegretti nie było do śmiechu. Ludzie na ziemi żyli, pętali się wokół knajp i kobiet, a śmierć była od nich daleko.

Spojrzał na żołnierza. On też był blady. W lusterku połyskującym wśród przyrządów widział swoją pożółkłą, wystraszoną twarz.

Silnik krztusił się podejrzanie.

— Barbagallo — zaczął pułkownik, żeby opanować strach. — Słuchaj no, Barbagallo.

— Słucham, panie pułkowniku.

— Jesteś pewny, że wylądujemy żywi?

— Nie jestem pewny, panie pułkowniku.

Pułkownikowi wydało się, że spadają, że są tuż nad minaretem. Oczy przesłoniła mu jakaś błoniasta mgła, i nic już nie widział. Pocierał policzki, chwytał się za głowę. W silniku zabulgotało. Pułkownik stłumił krzyk.

— Jakie jest twoje ostatnie życzenie, Barbagallo? — spytał pozornie cicho.

— Awans, panie pułkowniku — odparł drżącym głosem Turiddu.

— I nic poza tym?

— I żebym opuścił Czarnogórę, panie pułkowniku.

— Tak, tak, prosto na lotnisko, kapralu — zawołał pułkownik, spostrzegłszy, że samolot zmienia kierunek. — Tak, Barbagallo, tak, sokole. Tylko ostrożnie, kapralu. Najważniejsze, żebyśmy wyszli z życiem. A wtedy napijemy się tej ich trucizny, tej śliwowicy. Prawda, Barbagallo?

— Prawda, panie pułkowniku — oprzytomniał pilot. — Kapral Turiddu Barbagallo bardzo lubi śliwowicę. Uwielbia ją. Pan to może zauważył, panie pułkowniku...

Pułkownikowi ze strachu zamierało serce. Zamykał oczy i wyobrażał sobie życie na ziemi. Widział siebie na rynku, w kancelarii, w swoim pokoju, z narzeczoną Vittoria Brambilli. Wciąż słyszał stukot silnika.

Jeżeli tylko stanę na ziemi zdrowy i cały, gruntownie zmienię swoje życie — szeptał w duchu. — Po pierwsze, pójdę do karczmy Malicia między żołnierzy, między tych małych, zwykłych, dobrych ludzi, którzy po pijanemu z całego serca wznoszą toasty za każdego, kto przestąpi próg karczmy, i za wszystkie gołe, rozkraczone kobiety na ścianach. Potem upiję się jak mój Barbagallo albo jak kapitan Fioravanti, dla którego byłem niesprawiedliwy; albo jeszcze bardziej, tak że pełnego rakiji poniosą mnie przez rynek. I dlatego, że będę żywy i wesoły, podwójnie albo potrójnie żywy, po stokroć żywy, żywy bardziej niż teraz, kiedy wydaje mi się, że jestem na pół martwy, a więc poczuwszy, że nie jestem już w tym przeklętym powietrzu, ucałuję Grubana Malicia w żywe, twarde ludzkie czoło, dam mu niesamowicie duży napiwek i zegarek na dokładkę — bo on rusza rękami i nogami, bo nie jest zwęglonym, szpetnym trupem, czerniejącym obok rozbitego samolotu, bo chce oddychać i żyć.

(cdn)

Przełożyła:
DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

* Rzymianin.

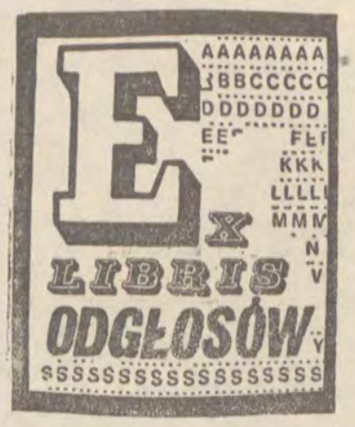

EUGENIUSZ MORSKI

Eugeniusz Morski (1900—1975) pisał swoje wiersze niejako na marginesie artystycznych sporów i na marginesie codziennej, wieloletniej pracy dziennikarskiej. Debiutował w Poznaniu w roku 1932, należał do grupy literackiej „Promethidion", był współredaktorem kwartalnika poetyckiego „Prom", publikował swoje wiersze w „Wiadomościach Literackich" i „Skamandrze".

Po wojnie wiele lat pracował w Polskiej Agencji Prasowej — najpierw w Łodzi, potem w Poznaniu. Później kierował redakcją literacką Polskiego Radia w Poznaniu.

Wybór wierszy Eugeniusza Morskiego, jaki zaprezentowało nam ostatnio Wydawnictwo Poznańskie, dokonany został przez poetę — niestety ukazał się już jako wydanie pośmiertne.

Urodził się w Rosji, tam spędził dzieciństwo i wczesną młodość, język rosyjski przyswoił sobie tak jak ojczysty, pisał więc i mówił swobodnie po polsku i po rosyjsku. Wiele też tłumaczył z języka rosyjskiego: przekładał wiersze Puszkina, Lermontowa, Jesienina, Błoka, Majakowskiego, Woznieseńskiego... Do ostatnich dni życia prowadził w czasopismach poznańskich przeglądy prasy radzieckiej, ostatnio też zwrócił się ku prozie — na parę lat przed śmiercią wydał tom opowiadań „Plama za kratą", pisał też powieść, z którą wiązał szczególnie duże nadzieje. W tomie „Wiersze wybrane" przedstawił się Morski w całej swojej różnorodności zainteresowań i pasji. Są tu poematy, satyry, liryki: wiersze pełne ironii i wyzwania, patosu i polemiki ze światem.

Eugeniusz Morski „Uroda świata", Wyd. Poznańskie, cena 20 zł.

AUTOBIOGRAFIA

George Bidwell napisał w Polsce około czterdziestu książek w ponad milionowym nakładzie i jest co się zowie polskim pisarzem, choć pisze po angielsku i dopiero jego żona Anna tłumaczy na polski. W roku 1949 George Bidwell — dyrektor warszawskiego oddziału British Council poprosił o polskie obywatelstwo. Motywy swej decyzji wyłożył w książce pt. „Wybrałem Polskę".

Ale w swojej autobiografii podaje jeszcze jeden powód — tym razem z angielskim humorem. Przypomina zatem, że wówczas przyjaciele twierdzili, iż w tytule książki jest błąd zecerski: powinno być bowiem „Wybrałem P o l k ę". Przyjaciele twierdzili również, że pani Anna Woroszyłło wyszła za mąż za Bidwella dlatego, aby nie słyszeć, jak męczy się on wymawiając jej panieńskie nazwisko.

W każdym razie polski pisarz George Bidwell, piszący po angielsku książki o przeszłości Anglii, dobrze się zasłużył polskiej literaturze. Przez całe lata pisał powieści o innych — w wieku lat siedemdziesięciu napisał własną autobiografię. Jest to pasjonujący pamiętnik, w którym poznajemy dzieciństwo autora, a zwłaszcza opis tak odmiennej od polskiej — szkoły angielskiej, pracę w prowincjonalnym dzienniku, a potem w banku. W czasie wojny autor służył w jednostkach transportowych, wreszcie w 1946 roku przyjechał do Polski na trzy lata. Został na lat trzydzieści w Polsce i w polskim piśmiennictwie.

George Bidwell „Ani chwili nudy", Autobiografia. — Wyd. „Śląsk", cena 30 zł.

EXLIBRISY

Prawdziwe rarytasy bibliofilskie znaleźć czasem można w księgarni DK „Horyzont" przy ul. Piotrkowskiej. Przed paroma miesiącami był tam do nabycia rewelacyjny album „500 exlibrisów radzieckich" — wydany przepięknie i kosztujący... zaledwie 60 zł. Oczywiście zniknął z półek dość szybko.

Ostatnio znalazł się tu inny album exlibrisów wydany przez moskiewską „Książę". Są to znaki książkowe znanego łotewskiego grafika, Pietierisa Upitisa. Publikacja prawdziwie bibliofilska — wszystkie publikowane tu exlibrisy odbite są z oryginalnych autorskich klisz. Nakład niewielki, bo zaledwie dwa tysiące egzemplarzy — numerowanych i z podpisem autora.

„Exlibrisy Pietierisa Upitisa", Wyd. „Kniga", cena 30 zł.

KROKODYL

Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe rozpoczęły interesującą serię „Przedstawiamy pisma satyryczne świata". Pierwszy tom prezentuje moskiewskiego „Krokodyla". Piszę „moskiewskiego", bo chociaż „Krokodyl" jest pismem wszechzwiązkowym, to jednak ma „konkurentów" w Kraju Rad co niemiara. Mało kto zapewne wie, że w Związku Radzieckim ukazuje się... dziewiętnaście czasopism satyrycznych w związkowych i autonomicznych republikach.

Ale to nie wszystko. W ZSRR istnieje także satyryczna... kronika filmowa, a w tygodnikach literackich istnieją stałe kolumny satyryczne („Czudak" w „Litieraturnej Rossiji" i „Klub 12 krzeseł" w „Litieraturnej Gazietie"). Dodać jeszcze warto, że „Krokodyl" w ramach własnej biblioteki wydał w ciągu 28 lat 674 książki w nakładzie około 4 milionów egzemplarzy. Były to zbiory felietonów, opowiadań, parodii, aforyzmów — słowem cały arsenał różnorodnej broni satyrycznej.

Jakże więc z takiego dorobku wybrać rzeczy najcenniejsze i najbardziej charakterystyczne? Diablo trudna sytuacja, a jednak się udało. A teraz czekamy na następne tomy tej serii — na prezentację „Puncha" i „Harakiri".

„Krokodyl", wstęp i wybór Manuił Siemionow, Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 35 zł.

WOLNE MIASTO KRAKÓW

Wśród dyplomatycznych targów prowadzonych na kongresie wiedeńskim nad przyszłym losem ziem polskich, a w zasadzie nad podziałem napoleońskiego Księstwa Warszawskiego — sprawa Krakowa i jego okręgu stanowiła kość niezgody. Nie było jednomyślności w rozmowach na ten temat prowadzonych przez przedstawicieli Austrii, Prus i Rosji. Oba państwa niemieckie nie godziły się na to, aby Kraków przypadł w udziale Rosji. Chodziło tu zarówno o jego znaczenie strategiczne jak i względy prestiżowe. Austria i Prusy nie chciały bowiem dopuścić, aby car władał w dwóch dawnych stolicach polskich.

Ostatecznie strona rosyjska zaproponowała utworzenie z Krakowa oraz niewielkiego terenu na lewym brzegu Wisły obszaru neutralnego i nadanie mu ustroju podobnego do wzoru miast hanzeatyckich. Równocześnie car domagał się od Austrii włączenia do terytorium krakowskiego także i prawobrzeżnego miasta Podgórza z przyległym doń obszarem.

Do ostatecznego rozwiązania tej kwestii przyczynił się pośrednio... Napoleon. Stanąwszy na ziemi francuskiej zmierzał ku Paryżowi, gdzie miał rozpocząć swoje „100 dni". Pojawienie się Napoleona na arenie politycznej wywołało poruszenie wśród uczestników Kongresu Wiedeńskiego i pobudziło wolę kompromisu. W dniu 3 maja 1815 roku podpisano traktat, w myśl którego Kraków stawał się „miastem wolnym, niepodległym i ściśle neutralnym" pod opieką trzech mocarstw.

O tym właśnie trzydziestoletnim epizodzie w dziejach Krakowa mówi studium doc. Wojciecha Bartla, wydane w serii „Biblioteka Krakowska".

Wojciech Bartel „Ustrój i prawo wolnego Miasta Krakowa", Wyd. Literackie, cena 20 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

JÓZEF BARBAG „Wielka Brytania", PWN, cena 54 zł
ERNEST BRYL „Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony", MON, cena zł 10
MIGUEL DE CERVANTES „Nowele przekładane", WL, t. I—II, cena zł 75
IVY CAMPTON-BURNETT „Więcej pań niż panów", Czytelnik, cena zł 38
WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI „Okolica starszego kolegi", WŁ, cena zł 30
EUGENIUSZ MORSKI „Uroda świata. Wiersze wybrane", W. Poz. cena zł 20
SŁAWOMIR SIERECKI „Skaliste gniazdo Taurów", WM, cena zł 20
JERZY SIEWIERSKI „Pięć razy morderstwo", Iskry, cena zł 26.
MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN „Powrót świata", WŁ, cena zł 12

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

MOI SZEFOWIE

W pewnym związku twórczym istnieje Komisja Jubileuszowa. Ale myliłby się ktoś, kto by sądził, że zadaniem tej komisji jest czuwanie, aby nie zapomiano o jubileuszach działalności twórczej członków. Tak dobrze to jeszcze nie jest. Komisję tę powołano, aby... rozpatrywała podania członków zgłaszających swoje jubileusze. Jeśli ktoś zapomni, albo mu głupio dopominać się o jubileusz, to trudno, sam sobie winien, Komisji to nie obchodzi.

Świadom tego obyczaju, który panuje nie tylko w pewnym związku twórczym, chcę przypomnieć w tym miejscu, że **za półtora roku, w marcu 1978 „Odgłosy" obchodzić będą 20-lecie istnienia**. Na specjalne splendory nie liczę, ale może z tej okazji dostaniemy wreszcie szafę-kartotekę na archiwum fotograficzne oraz stół.

Piszę o tym z półtorarocznym wyprzedzeniem, bo wiadomo — żyjemy w epoce precyzyjnego planowania, szczególnie jeśli chodzi o wydatki.

Ale do innego jubileuszu „Odgłosów" wcale nie jest aż tak daleko. **Otóż za niespełna pięć miesięcy, a mianowicie w lutym przyszłego roku nasze pismo wyda swój tysięczny numer.**

A zatem warto spojrzeć wstecz. Jakich to pismo miało szefów? W starych rodach istniała tradycja: w hallu czy salonie wieszano galerię portretów przodków. Dziś nie ma tego zwyczaju, niech ten felieton zastąpi więc redakcyjną galerię portretów.

Otwiera ją **Wiesław Jażdżyński**, pierwszy redaktor naczelny, pod którego kierunkiem większość z nas stawiała pierwsze kroki na pisarskiej i dziennikarskiej ścieżce... „Odgłosy" z tamtych lat były magazynem różności, obok powieści historycznej czy kryminalnej drukowały opowieści typu „Pustynne szczury" czy „Wspomnienia Białego Kapitana". A jednocześnie już wówczas wkraczała na łamy pisma problematyka społeczna, literacka, artystyczna... Ukuto wówczas slogan — dziś trochę śmieszny — **„Odgłosy nie zbytek — radość, pożytek"**, ale właśnie to hasło określało założenia pisma. Zapewnić ciekawą, lekką lekturę, a jednocześnie zaproponować problematykę poważniejszą. Z tych właśnie czasów w bibliografii łódzkich książek pozostał tom reportaży **„Ucieczka przedmieścia"** — plon ogólnopolskiego konkursu na reportaż o Łodzi, konkursu, w którym udział wzięli najwybitniejsi polscy reporterzy. A poza tym zostały i inne książki „odgłosowe": parę powieści łódzkich pisarzy drukowanych było w odcinkach właśnie na tych łamach.

Drugim moim szefem był **Wacław Biliński**. Za jego kierownictwa pismo zmieniło oblicze: stało się bardziej dostojne, czytelnika szukało raczej wśród odbiorców „Życia Literackiego" i „Kultury" niż wśród abonentów „Expressu". Założenie było słuszne, zważywszy, że Łódź jest przecież silnym ośrodkiem akademickim i artystycznym, ale ocena ambicji czytelniczych chyba jednak była zbyt optymistyczna. Ale to przecież w tamtych czasach „Odgłosy" jakby wydoroślały, pozbyły się kompleksów „łódzkości", stały się poważnym czasopismem społeczno-kulturalnym. Szerzej wówczas wkroczyła na łamy pisma grafika najwybitniejszych artystów.

Trzecim moim szefem był **Jan Koprowski**. Pismo nadal utrzymało powagę i jeszcze szerzej wkroczyła doń literatura, wiedza o literaturze, przekłady... Wówczas to rozpoczęliśmy doroczne plebiscyty czytelnicze na „Łodzianina Roku", rozwinęła się bardzo publicystyka kulturalno-oświatowa — słowem „Odgłosy" odnalazły swoje miejsce w czytelniczej społeczności Łodzi po latach eksperymentów i poszukiwań.

Nazwiska moich aktualnych szefów można przeczytać na drugiej kolumnie w redakcyjnej stopce. Mój czwarty szef — **Jerzy Wawrzak** — jest równocześnie moim związkowym prezesem ZLP, a jeśli kiedyś napiszę scenariusz filmowy, będzie także i szefem filmowym jako kierownik literacki zespołu „Profil".

Ani się obejrzymy jak stuknie „Odgłosom" tysięczny numer i chcąc nie chcąc będziemy musieli przyjąć do wiadomości to swoiste millenium. Z jednej strony to powód do dumy: **jesteśmy jedynym w historii łódzkiego czasopiśmiennictwa tygodnikiem społeczno-kulturalnym, który przeżył w tym mieście tysiąc numerów**. Dziś „Odgłosy" stanowią potężną bibliotekę, każdy numer to ponad 100 stron maszynopisu, czyli około 500 dwustustronicowych książek.

Z drugiej jednak strony trochę żal, że ten czas tak szybko leci, że „już szron na głowie, już nie to zdrowie..." I świadomość, że za następne dwadzieścia lat już kfoś inny napisze w tym miejscu felieton. Jeśli jeszcze będzie to miejsce.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CZŁOWIEK NIE GLINA!

Nowe zasady przeprowadzania egzaminów na prawo jazdy obejmują między innymi rewelacyjną nowość: „Egzaminator, jeżeli wyda ocenę pozytywną, będzie formalnie odpowiedzialny za umiejętności swojego podopiecznego. W razie popełnienia poważniejszego wykroczenia przez kierowcę będą wyciągane konsekwencje w stosunku do egzaminatora".

Przyznaję, że od pierwszej chwili, gdy tylko w otoczce entuzjastycznych komentarzy opublikowano po raz pierwszy cytowaną zasadę, miałem do niej stosunek ambiwalentny, czyli dwojaki. Może to i dobrze — myślałem sobie. Przynajmniej ukróci się szeroko uprawiany proceder ułatwiania egzaminów uczniom, którzy potrafią to odpowiednio docenić. Analogicznie — myślałem dalej — gdy się ktoś utopi należałoby ukarać tego, co mu wydał za dwie setki kartę pływacką.

Ale może to źle, bo jak się ktoś utopi po pijanemu, a kto inny straci panowanie nad kierownicą w szczególnie trudnym momencie, albo uśnie przy kółku — to za co ciągać egzaminatora?

Na dobitek czytam w „Polityce" list Obywatela Jerzego Stembrowicza z Warszawy, który pisze tak: „Proponuję rozciągnąć ten zbawienny pomysł na wszystkich egzaminatorów: szkolnych, uczelnianych, kursowych itp. W ten sposób pozbędziemy się osób niewykwalifikowanych, niedouczonych, źle pracujących. Zagrożeni sankcjami odpowiednio dotkliwymi, egzaminatorzy nie wypuszczą braku. Oto jak w prosty sposób można podnieść kwalifikacje. Że też nikt nie wpadł na to wcześniej!"

No tak, takiego oddźwięku można się było spodziewać i propozycja Ob. Stembrowicza jest całkowicie logiczna i konsekwentna. Tylko, rany boskie, do czego to by doprowadziło?

Wybitny chirurg wycina nagle kawałek odbytnicy pacjentce, chorej na coś zupełnie innego, i robi z niej kalekę (pisała o tym niedawno „Kultura"). Do mamra zatem z profesorami, którzy kiedyś dali dyplom chirurgowi! Nie nauczyli go odróżniać zdrowej odbytnicy od chorej!

Spośród czterdziestu maturzystów pewnej szkoły połowa nie zdała egzaminów na wyższe uczelnie. Jasne, że ich nauczyciele gimnazjalni dożywotnio zza krat nie wyjdą, bo wypuścili 50% braków. Z pozostałych pięćdziesięciu jeszcze połowa odpadnie w czasie studiów, więc nauczycielom dorzuci się ciemnicę o chlebie i wodzie. Z tych co ukończą studia, nawet z pochwałami i medalami, wszyscy lub prawie wszyscy popełniać będą różne mniejsze lub większe głupstwa w życiu zawodowym. Niektóre z tych głupstw podpadną może pod definicję wykroczeń. To kto winien? Nauczyciele, ale którzy — ci z podstawówki, czy z gimnazjum, czy z uczelni? Kto powinien był nauczyć inżyniera, że należy budować mosty, które się nie walą, a stolarza — że parkiet powinien równiutko leżeć sto lat, a nie dwa tygodnie? Gdzie szukać winnych?

Wykroczeniem jest, kiedy „fachowiec" od CO wrzuca cegłę do przewodu przed oddaniem budynku w użytkowanie. Pomijam już, że trudno takiego drania odszukać, ale jeśli już go mamy — to co, to jego nauczyciel z zawodówki winien, czy on sam? Czy mama, że go nie nauczyła dobrych obyczajów? Dawaj, bierzmy się za mamy... Taka tendencja przecież też istnieje, czy nie za często bowiem czytamy i słyszymy o młodocianych oprychach i gwałcicielach z dobrych, porządnych, śmiertelnie zapracowanych domów, że to właśnie te domy winne i tylko one?

Na razie tylko kierowcy płacąc mandat będą się pocieszać tym, że jednocześnie zapłaci ich instruktor z Ligi Obrony Kraju. Jak są współwinni, to kara rozkłada się na więcej pleców i łatwiejsza jest do zniesienia. Przerażenie jednak ogarnia na myśl, że ta przedziwna zasada mogałby być naprawdę rozszerzona na inne tereny. Nie byłoby ani jednego procesu bez „przypozwanych", a nikt z nas — boć każdy przecież kiedyś czegoś kogoś nauczał — nie będzie miał spokojnej chwili. A nuż jeden z moich niegdysiejszych elewów właśnie popełnia wykroczenie?

Tylko glina nie odpowiada za to, co z niej zrobiono. Człowiek odpowiada i wstrętnym byłoby, gdyby się przy każdym potknięciu własnym szybko oglądał za współwinnymi. Chciałbym, żeby Obywatel Jerzy Stembrowicz przeczytał ten felieton.

ĆWIEK

KSIĄŻKA

SPOWIEDŹ REPORTERA

Reporterzy nie mają szczęścia do recenzentów i krytyków literackich. Najmniej sto bzdur zawarto w „100 wierszach o książce" poświęconych na łamach jednej z łódzkich gazet, „Himalajskiej Tragedii" **Romualda Karasia**. Wręcz trudno opisać wrażenie jakie musiały wywoływać u każdego kto czytał znakomity reportaż jednego z czołowych naszych reporterów, niefrasobliwe stwierdzenia w rodzaju: „Luki, które powstały w o p o w i a d a n i u czy też p s e u d o r e p o r t a ż u (podkreślenia — K.T.) można zaliczyć na konto literackich, ulgowych zmyśleń acz prawdopodobnych w historii wspinaczki wysokogórskiej. Niektórzy z uczestników Klubu Wysokogórskiego w Lublinie (c o z a z n a c z o n o w i m i ę w i a r y g o d n o ś c i) planują wyprawę w Himalaje połączoną ze zwiedzaniem Indii..."

Oczywiście, można nie czytać ani „Tygodnika Kulturalnego", ani „Polityki", gdzie publikowano zaledwie przed rokiem głosy w dyskusji wokół drukowanego wówczas w odcinkach reportażu Karasia. Były to głosy ostre bo wywołał je wręcz fotograficzny opis autentycznych zdarzeń. Z dyskusji jasno wynikało, że „Himalajska Tragedia" nie została wymyślona przez autora. Jej bohaterowie łatwo rozpoznawali siebie w reportażu Karasia. Wydawca książki nawet umieścił na okładce rzucający się w oczy dopisek: „Himalajska tragedia" stanowi próbę rekonstrukcji dramatycznych wydarzeń, jakie towarzyszyły wyprawie lubelskiej grupy taterników w najwyższe góry świata w sierpniu 1973 roku". Można się spierać czy stanowi tylko próbę rekonstrukcji, ale w żadnym razie utwór nie kwalifikuje się ani jako opowiadanie korzystające z „literackich, ulgowych zmyśleń" ani nie zasłużył sobie na niezbyt taktowne miano „pseudoreportażu". Po prostu autor niewydarzonej recenzji zapracował sobie na nazwanie jego opinii pseudorecenzją... A znakomite reportaże Karasia zasługują w każdym razie na ocenę poważną i kompetentną.

Podobnie jak publikacja **Wiesława Sachsa** autora wydanej przez Krajową Agencję Wydawniczą książki pt. „Nie bijcie reportera". Sto pięć stron kieszonkowego formatu czyta się jednym tchem. Tyle w nich reporterskich przygód! W każdym zdaniu czuje się kipiące życie ze wszystkimi jego barwami, prawdę i tylko prawdę! Doświadczony reporter, który juz z niejednego pieca jadł chleb, potrafi zafrapować czytelnika właśnie swoimi reporterskimi przygodami. Bo u Sachsa życie i zawód to jedno. W reporterskie przygody wciąga żonę i syna. Swoją „Skodą", a od miesiąca Fiatem", przemierza Polskę wszerz i wzdłuż. Łaknie tych podróży, nie może usiedzieć za redakcyjnym biurkiem kierownika działu krajowego w „Kurierze Polskim". Pracowicie zwozi z najodleglejszych zakątków notatki i reportaże. Szczerze podziwia go wielu młodych kolegów. Uczą się od niego reporterskiego rzemiosła, zazdroszczą szczerego umiłowania zawodu.

„Nie bijcie reportera" jest pierwszą książką Sachsa. Wiem, że napisanie jej nie przyszło łatwo. Musiał bowiem kraść czas nieubłaganie pochłaniany przez obowiązki wobec codziennej gazety. Nie raz o tym rozmawialismy. Wieśkowi jednak niezastąpioną radość i satysfakcję przynosi praca w dzienniku dającym możliwość ujrzenia dziś wystukanego na maszynie tekstu — nazajutrz w rękach czytelników, wydrukowanego w gazecie. Ale za to trzeba płacić! Publikacje w prasie codziennej nie zapewniają bowiem miejsca wśród luminarzy reportażu a na pisanie do tygodników o uznanych tytułach, nobilitujących autorów, nie staje już sił i czasu. Dopiero więc po prawie 30 latach nieprzerwanej pracy reporterskiej Sachs poświęcił kilka urlopów i napisał wreszcie pierwszą książkę. Czytając ją nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest to spowiedź reportera. „Po latach notesy zapełnione wyblakłym pismem przestają przemawiać do autora, stają się jakby obce, trudno już wczuć się w atmosferę dawnych wydarzeń. Tak właśnie umknęły z pamięci szczegóły z czasów, kiedy pracując w „Słowie Powszechnym" byłem sprawozdawcą z procesów zbrodniarzy wojennych. Pamiętam jedynie, że Hoess — komendant Oświęcimia sądzony w roku 1947 lub 1948, siedział cały czas nieruchomo zapatrzony w jeden punkt. Greiser? Już nie wiem..." — wyznaje autor tomiku. A przecież wiele ledwie dotkniętych głośnych zdarzeń, w których Sachs uczestniczył to tematy do całych tomów reportaży. Szkoda, że brakowało czasu pożeranego codzienną orką redakcyjną, pogonią za coraz to nowymi zdarzeniami. Jak wielka to szkoda świadczą dalsze partie książki, bliższe dniu dzisiejszemu, przynoszące pełniejsze opisy bo jeszcze świeże w pamięci i notatkach.

„Nie bijcie reportera", książka napisana przykładną polszczyzną i utrzymana w wartkim stylu, zdaje się też spełniać wszelkie warunki podręcznika dla kandydatów na dziennikarzy i reporterów. Ukazuje blaski i cienie tej pracy, radości i rozterki. Ma tym większą wartość, że napisana została przez świetnego praktyka zawodu, że nie ma w niej zafałszowań wynikających z nieznajomości przedmiotu.

KONRAD TUROWSKI

Wiesław Sachs „Nie bijcie reportera", Krajowa Agencja Wydawnicza — Warszawa 1976 str. 105, cena 12 zł.

magazyn

SŁAWOMIR ROSIAK

URLOP NA KÓŁKACH

Plac Świętego Marka w Wenecji
Fot.: Sławomir Rosiak

Ulica prowadząca do przejścia granicznego w Zgorzelcu przypomina wielki parking. Wśród samochodów, czekających na tranzytową odprawę celną, wiele z polską rejestracją. Po trzech godzinach załatwiamy wszelkie formalności.

— Szerokiej drogi — żołnierz służby granicznej WOP kiwa nam przyjaźnie ręką.

Przejeżdżamy most na Nysie Łużyckiej. Przed nami miesiąc urlopu i 5.000 km drogi. Cel podróży: PARYŻ — LAZUROWE WYBRZEŻE — WENECJA. Mijamy Budziszyn, Drezno, Karl-Marx-Stadt. Późno wieczorem w miasteczku Wartha, na granicy z RFN, pierwszy nocleg. Sprawdzian komfortu przyczepy campingowej N-126 produkcji Zakładów Predom-Prespol w Niewiadowie wypada zadowalająco. Śpi się w tym małym domku na kółkach całkiem wygodnie trzem osobom. A najważniejsze, że przyczepa jest lekka i znakomicie da się prowadzić, co na tak dużej trasie ma istotne znaczenie. Miła niespodzianka to sprawdzian zużycia paliwa. Ilość dolanej do pełna benzyny, podzielona przez przejechane kilometry, daje wskaźnik 10,5 l na 100 km. Biorąc pod uwagę pełne obciążenie Fiata 125 p (prowiant, przyczepa, 3 osoby) przeciętna jest dużo mniejsza od zakładanej w przedurlopowej kalkulacji. Dlatego zwracam uwagę na ten fakt, bowiem benzyna odgrywa decydującą rolę w dewizowym budżecie. W znakomitych nastrojach, z prędkością 80 km/godz. mkniemy autostradami RFN. Obok olbrzymie szpalery samochodów. Sześciopasmową autostradą Volkswageny, Fordy, Peugeoty, Mercedesy z prędkością przekraczającą 130 km/godz. pędzą przed siebie.

Za Frankfurtem wielka kolizja kilkunastu samochodów. Są zabici i ranni. Stoimy w wielkim, kilkunastokilometrowym „korku". Karetki pogotowia, straż. Nad nami helikoptery. Ta niezwykła sceneria trwa około czterech godzin.

O godz. 1 w nocy przekraczamy granicę francuską. Zaraz za przejazdem granicznym płatna autostrada do Metzu. 5 franków wrzuconych do automatu otwiera kolorową zaporę. Na pierwszym parkingu późna kolacja i nocleg. O godz. 13.00 następnego dnia jesteśmy w Metzu. Dwugodzinny spacer wąskimi uliczkami starego miasta i dalej w drogę.

Zbaczamy z płatnej autostrady i drogą komunalną jedziemy w kierunku Paryża. Na trasie liczne miasteczka, stanowiące barwną ilustrację francuskiej prowincji. Długa centralna ulica, czasem plac, dwie kafejki, restauracje koniecznie z krzesłami i stolikami wystawionymi na zewnątrz. Przed każdym domem donice z kwiatami. Na ścianach domów i na murach — olbrzymiej wielkości kolorowe reklamy. Reklamuje się tu dosłownie wszystko: od pasty do zębów, płynu na odciski — do komfortowych samochodów.

Jednak najbardziej barwnym elementem francuskich dróg są stacje benzynowe. Różnokolorowe zbiorniki na paliwo, napisy reklamujące firmę, proporczyki we wszystkich barwach okalające cały teren stacji, kolorowe opakowania akcesoriów samochodowych, przystacyjne bistro lub kawiarnia z kolorowymi parasolami, sklepik z bogatą na zewnątrz ekspozycją towarów. Z daleka stacje benzynowe przypominają małe lunaparki. Oprócz benzyny można dostać tu prawie wszystko: pieczywo, mapę turystyczną, coca-colę, artykuły sportowe, owoce, a nawet obuwie. Zadziwia bliskie sąsiedztwo stacji należących do różnych firm. Właściciele prześcigają się w pomysłach reklamowych:

„Zatankuj benzynę i napij się Coca-Coli".

„Benzyna „Total" — i włoskie spaghetti...".

Ludzie przejeżdżają, patrzą, wybierają. Na drogach Francji nie może zabraknąć benzyny. Takie stacje są co 3—5 km i najczęściej każda firma ma swoich stałych klientów. Wpisałem się na listę stałych klientów firmy „Esso", powiększając dochód tego potężnego koncernu o około 300 franków. Ale ładne stacje nie zmieniają faktu, że benzyna jest tu bardzo droga. 1 litr super kosztuje 1,93 franka.

Wąska, o nie nadzwyczajnej nawierzchni droga, przechodzi w autostradę. Coraz więcej wielopoziomowych skrzyżowań i rozjazdów. Na tle czerwonej kuli chowającego się za horyzont słońca pojawiają się wysokie, proste kontury wysokościowców. To już Paryż. Szukam wieży Eiffla — symbolu Paryża XX wieku. Niestety. Paryż żyje już XXI wiekiem. Wieża Eiffla, do niedawna górująca nad miastem, ginie wśród nowoczesnej wysokiej architektury nowego centrum stolicy Francji.

Samochód wraz z domkiem na kółkach jak tratwa poddaje się rwącemu prądowi pojazdów. O skręcie w lewo lub w prawo nie ma mowy. Trzeba jechać prosto. Na liczniku tysiąc pięćset siedemdziesiąty czwarty kilometr drogi i oto Łuk Triumfalny. W iluminacji świetlnej na otwartej przestrzeni placu Charles de Gaulle prezentuje się wspaniale.

Na jedynym w centrum Paryża campingu w Lasku Bulońskim komplet turystów. Legitymacja członka Międzynarodowego Związku Campingów otwiera nam bramę. Po godzinie znajdujemy wolny plac nad brzegiem Sekwany. Warunki, jak na stolicę światowej turystyki, dość prymitywne, no i za wszystko trzeba płacić. Chcesz ciepły prysznic, płać dwa franki. Nie zdążysz się dobrze namydlić, a tu już po wodzie. Chcesz zmyć mydło, wrzuć do automatu kolejne 2 franki. 50 złotych za 2-minutowy, ciepły prysznic, to lekka przesada.

Trzy dni w stolicy świata. Gdzie pójść, co wybrać, aby w tak krótkim czasie choć w części poznać to miasto? Avenue de Gaulle, Łuk Triumfalny, Pola Elizejskie, Plac Concorde, Luwr, Katedra Notre-Dame. Na planie Paryża wymienione miejsca są bardzo blisko siebie. W rzeczywistości Lasek Buloński od Katedry Notre-Dame dzieli dokładnie odległość 13 kilometrów.

Przed żarem słonecznym chronią znakomicie okazałe rzędy drzew. Takie oazy zieleni posiada prawie każdy bulwar i każda ulica. Avenue de Gaulle, ulica magazynów, przedstawicielstw handlowych, salonów samochodowych i banków, stanowi przedłużenie Pól Elizejskich w kierunku zachodnim. Rozdziela, a właściwie łączy te dwie ulice Łuk Triumfalny. W dzień prezentuje się nie mniej okazale niż w nocnej iluminacji. Pod Łukiem i na jego platformie widokowej mrowie turystów. Wokół nieprzerwane szpalery samochodów. Większość niknie w długiej, jedynej w swoim rodzaju perspektywie Pól Elizejskich.

Wszystkie krzesła przy stolikach ulicznych ogródków kawiarnianych i restauracji zwrócone są w stronę ulicy. Widownia — to siedzący na nich ludzie. Scena — to rozgrywająca się przed oczyma tej widowni niepisana fabuła zdarzeń głównej promenady wielkiej metropolii.

Pola Elizejskie są wielką międzynarodową rewią mody. Obok szczupłych paryżanek w skromnych letnich sukienkach — tabuny Hindusów, ludowe stroje murzyńskie, bose nogi do połowy nagich, obwieszonych plecakami autostopowiczów. Klimat tej ulicy oddaje atmosferę dzisiejszego Paryża. Stąd jeden krok do ogrodów królewskich i Luwru. Wspaniały kompleks budowli pałacowych wznoszonych i rozbudowywanych od XII do XVII wieku przez słynnych architektów: Lescota, Goujona, Perraulta, robi wielkie wrażenie.

Został nam ostatni punkt na wyznaczonym szlaku turystycznym. Katedra Notre-Dame. Bohaterka filmów i literatury, monumentalna XII-wieczna katedra prezentuje się okazale. Od strony zewnętrznej, po bokach ujawnia swój oryginalny system strukturalny w postaci stałego rusztowania złożonego z przypór i łuków odporowych. Wnętrze szokuje wysokością i przestrzenią. Potęgują to wrażenie długie snopy światła słonecznego, rzucane na posadzkę poprzez kolorowe witraże.

13 kilometrów w temperaturze plus 30 st. C w czasie 6 godzin. Metrem trasę powrotną do Lasku Bulońskiego pokonujemy w 15 minut.

Podobno prawdziwy Paryż to Montmartre nocą. Bulwar de Clichy — główna ulica nocnej dzielnicy, pulsuje tysiącem świetlnych reklam, tworząc wielką kalejdoskopową mozaikę. Czy to prawdziwy Paryż? Na pewno odmienny od tego na Polach Elizejskich czy Montparnasse. Wszyscy poddają się tu specyficznej atmosferze nocnego życia. Wśród przechodniów podejrzane typy. Dużo tu Murzynów i Algierczyków! Przy narożnych hotelikach urzędują panie wiadomej profesji. A nad wszystkim, co tu się dzieje, króluje sex. Erotyczne magazyny z wydawnictwami porno, erotyczne kluby, erotyczne kabarety, erotyczne seanse filmowe, erotyczne showy, erotyczne rewie itd., itp... Uliczni bileterzy dosłownie wciskają przechodniom w rękę bilety za jedyne 15 franków. Przed tanią erotyczną szmirą nadal broni się dostojny, ekskluzywny Moulin Rouge. Gościnnie występujący znani piosenkarze tworzą wysoką markę tej zasłużonej i słynnej na cały świat scenie rewiowej. Bilety bardzo drogie, od 135 do 165 franków. Miejsca zamawiać trzeba na wiele dni przed spektaklem.

Tydzień urlopu już za nami. Żegnamy Paryż i za Lyonem zjeżdżamy z głównej trasy. Przed nami Alpy francuskie. Samochód „wdrapuje się" na coraz to wyższe szczyty. Przepaście, tunele, zjazdy i podjazdy. Szczególnie niebezpieczne są zjazdy. Przyczepa pcha. W dół jadę na pierwszym biegu. Po raz pierwszy odczuwam lęk prowadząc samochod.

W Saillans piękny kościół z dzwonnicą na tle zielonej doliny. Kolejny zjazd. Wydaje mi się, że samochód nie zmieści się na ostrych zakrętach. W dole kilkusetmetrowe przepaście. Drugi dzień podróży przez Alpy. Na zboczach gór — wielkie płaszczyzny winnic. Przy drodze olbrzymie beczki reklamujące wina. To słoneczna, malownicza Prowansja.

Do Cannes już bardzo blisko. Zaczynają się korki samochodowe. Nadmorski bulwar Carnet w Cannes przypomina autostradę za Frankfurtem. Te same marki samochodów, tylko prędkość trochę mniejsza. Dwanaście kilometrów z Cannes do Antibes jedziemy 50 minut. Prawdziwy kataklizm motoryzacji. Po lewej stronie hotele, pensjonaty, wille. Po prawej — wąskie, kamieniste plaże z długimi szpalerami parasoli przeciwsłonecznych. Mam wrażenie, że samochodów jest więcej niż ludzi. Klaksony, warkot silników, tumany spalin. Nagle ogarnia mnie tęsknota za cichą plażą w nadbałtyckim Rewalu.

Dziesiątego dnia urlopu przekraczamy granicę francusko-włoską. Włoska Riwiera potęguje moje rozczarowania. Znów korki samochodowe. Nad brzegiem morza te same potężne, secesyjne kamienice. Wąska plaża i wielki turystyczny biznes. Tu nie przyjeżdża się odpoczywać, tu się traci pieniądze, a niekiedy dobre samopoczucie.

Z Genui znów pod górę. Mijamy masyw północnych Apeninów.

Stolica Lombardii — prawie 2-milionowy Mediolan — sprawia wrażenie wymarłego miasta. Jest godz. 13.00, pora południowej sjesty. Zamknięte banki, sklepy. Na stacjach benzynowych ludzi zastępują automaty. Odwiedzamy słynną gotycką katedrę i XV-wieczny zamek Sforzów. Wieczorem jesteśmy już w Weronie, która sławę zawdzięcza miłości Romea i Julii. Słabo oświetlonymi, wąskimi uliczkami starej Werony spacerują objęci „dżinsowi" kochankowie. Ze słynnej rzymskiej areny — teatru pod gołym niebem — na cały centralny plac rozbrzmiewa muzyka Verdiego. Kolejny spektakl „Aidy". Cena biletu — 3.000 lirów. Za 50 lirów kupuję widokówkę ukazującą fragment przedstawienia i przebogatą scenografię. Zegar na wieży kościoła wybija północ. Ludzi na placach i ulicach nie ubywa. Do rana szukać będą mitu wielkiej miłości. My idziemy spać. Jutro będziemy w Wenecji.

Następnego dnia, kilkanaście kilometrów za Wenecją, w Lido di Pineta, na dzikiej plaży rozbijamy obóz. Obok namioty Włochów, Francuzów, potężne — podobne do autobusów — przyczepy Holendrów i Niemców. Będziemy tu dwa tygodnie. Nareszcie prawdziwe wakacje. Słońce, Adriatyk i Wenecja. O Wenecji jest trudno opowiedzieć, a jeszcze trudniej opisać urok tego miasta. Z lądem Lagunę Wenecką łączy długi, czterokilometrowy most. Na 118 wyspach poprzecinanych dziesiątkami kanałów powstało miasto — unikat, miasto — bajka. Muzeum architektury i skarbiec sztuki. Promienie słońca wciskają się w zakamarki wąskich uliczek, wydobywając światłocienie, tworząc kontrasty, ukazując barwę starych domów, wspaniałych kościołów i pałaców. Na placu Świętego Marka nieustanny koncert stu tysięcy gołębich skrzydeł. Dołącza się do tej muzyki dźwięk dzwonów — Bazyliki Świętego Marka i skrzypcowy motyw walca „Oczarowanie", w wykonaniu orkiestry koncertującej pod gołym niebem.

Późnym wieczorem samotnie zapuszczam się w labirynt bocznych ulic. Wiele domów w rozsypce. Boczne kanały zanieczyszczone. Przypomina mi się Wenecja ze słynnego filmu grozy „Nie oglądaj się teraz". Doznaję lekkiego dreszczyku emocji... Mimo deszczu na bajecznie oświetlonym placu Świętego Marka tysiące ludzi. Tramwajem wodnym powrót do zaparkowanego przy Piazza di Roma samochodu. A potem już codzienne wędrówki po lagunie.

Spełniły się młodzieńcze marzenia. Jestem, widzę, dotykam, czuję specyficzny zapach wilgoci i wiatru. Szkoda, że nie popłynę gondolą. Trochę za drogo — 25.000 lirów.

Na adriatyckiej dzikiej plaży coraz mniej ludzi. Wyjeżdżają sympatyczni Włosi z Mediolanu. Wracają do kraju Francuzi i Holendrzy. Kończy się sezon, choć słońce nadal praży niemiłosiernie. Nawet samoloty, ciągnące za sobą wielkie napisy reklamowe, przelatują coraz rzadziej.

Ostatni wieczór w Wenecji. Trzy dziesięciolirówki wrzucone do kanału pozwalają uwierzyć, że wrócimy tu jeszcze. Ostatni rejs tramwajem. Oddala się oświetlony Pałac Dożów i Bazylika Świętego Marka.

Rano, następnego dnia, odjeżdżamy z prawie pustej plaży. Pada deszcz. W hotelikach i pensjonatach też koniec sezonu.

Przed nami 1.300 kilometrów powrotnej drogi.

„Korek" na autostradzie za Frankfurtem
Fot.: Sławomir Rosiak

EDWARD BRYL

TRZEBA się trochę ROZERWAĆ...

W „Złotym ulu" trudno o miejsce, jak wszędzie zresztą. Dzięki sąsiadowi z pensjonatu wczasowego, który tu przesiadywał godzinami, udało mi się zamówić porcję lodów. Byliśmy w trakcie opowiadania urlopowych ploteczek, kiedy z szumem i rumorem wpadła do kawiarni grupa rosłych młodzianów w pstrych szatkach. Prawie siłą uplasowali się obok okupowanego przez nas stolika, a rozmawiali tak głośno o ostatnich wojażach zagranicznych, że mój znajomy, chórzysta Teatru Wielkiego zirytował się i podniósłszy głos o ton wyżej powiedział:

— Zupełnie jakby „Mazowsze" wpadło na scenę. Tu, tracając mnie w bok, scenicznym szeptem wymienił nazwę znanego zespołu, który zwracał powszechną uwagę swoim niefrasobliwym zachowaniem.

— A pan co? wybełkotał zaczepnie uwielbiany idol młodzieży w błękitnej, wyszywanej koszuli. Teraz nastąpiła wymiana zdań między artystami, której wolę nie przytaczać. Wbrew oczekiwaniom kawiarnianej publiczki, sprawa zakończyła się obopólnym drinkiem. Zawiedzione towarzystwo wróciło do wystygłej kawy i roztopionych lodów. Właśnie wtedy pojawiło się w drzwiach indywiduum w ciemnych okularach, w koszuli z wydrukowaną na piersiach tarczą zegara, niedwuznacznie kręcąc tyłkiem. Dziewczyny siedzące bliżej wejścia musiały zrobić głośniejszą uwagę, bo nagle w „Ulu" zawrzało. Usłyszałem nie tylko ja...

Ach wy k..., spójrzcie na wasze krzywe nogi i mini rock...

•

Tego dnia Grand Hotel od strony molo nie wyglądał zachęcająco. Brudna, wąska plaża przedstawiała opłakany widok. Słońca ani krzty na horyzoncie. Morze smutnie sine. Na brzegu zwały wodorostów. Zapach nie do wytrzymania. Pusto. Na molo spacerowiczów niewielu. Park świeci pustkami, ale oto wpadam w tłum. Trudno się poruszać. Rezygnuję z szybkiego dotarcia na ulicę Chopina. Nagle spotykam znajomego z Łodzi. Zamieniamy kilka słów. Znów ktoś się nam kłania i znów, a jednak sam swoi. Tylko nastrój inny. Nie ma pośpiechu. Wszyscy defilują — urlopowa rewia. Próg szarej codzienności przekroczony. Panie, jakże urocze i młode, błyszczą świeżością i biżuterią. Makijaż wcale nie delikatny, podkreśla to i owo. Głębokie dekolty i ten chód — lekkie kołysanie bioder. Panowie obowiązkowo z gazetami w rękach, w sportowych koszulach, spokojnym krokiem przemierzają deptak. Ufni zawartości swych portfeli taksującym spojrzeniem obrzucają płeć nadobną. Tylko młodzieżowe pary nieświadome miejsca i wysokiego splendoru kurortu idą wtulone w siebie nie wstydząc się ani uczuć, ani nader skąpych szatek.

A oto i znajomi z pociągu, pani Basia z panem Kazimierzem. Idą trzymając się pod rękę, przodem biegnie Kasia, roześmiana, wesołutka, liże loda, co chwila ogląda się do tyłu aby nie zgubić mamy i wujka Kazia. Skłoniliśmy się sobie, jako, że los sprawił, iż nie tylko podróż upłynęła nam razem, ale również mieszkamy w jednym pensjonacie wczasowym.

•

Kolacja upłynęłaby spokojnie gdyby nie fakt, że któraś z wczasowiczek poważnie zaniemogła.

Kierowniczka domu wczasowego weszła do stołówki.

— Proszę państwa, wiem, że na sali jest lekarz — nasz wczasowicz, proszę serdecznie aby udał się ze mną do pokoju 57, jedna z pań zasłabła, zdaje się, że serce. Kierowniczka rozgląda się niespokojnie po sali. Nikt się nie rusza. My z sąsiadem zdziwieni patrzymy na kardiologa, który zawsze żywo dyskutował podczas posiłków, sypał medycznymi dowcipami, teraz jakoś zamilkł i spiekł raka, ale nie ruszył się z miejsca.

Natomiast wstał mój sąsiad, wesoły chłopak, który zwykle wciągał kardiologa w dyskusje medyczne.

— Pan może jest lekarzem — zwróciła się do niego kierowniczka.

— Ja? skąd, lekarz siedzi tam, wskazał kardiologa, ja idę do swojego pokoju.

— Prędzej, prędzej gorączkowała się kierowniczka.

— Nie jestem lekarzem wyznał wstydliwie nasz „kardiolog" Jestem krawcem.

Tymczasem w drzwiach stanął już mój sąsiad ze słuchawkami w ręku.

— Idziemy, zwrócił się do kierowniczki.

Krawiec-„kardiolog" pobladły opuszczał jadalnię. Publika chichotała.

•

W nocy obudził mnie płacz dziecka. Na korytarzu podnosił się szum, tu i ówdzie trzasnęły drzwi. Wstałem i ruszyłem do pokoju obok. Kasia zalewała się łzami. Dochodziła godzina druga.

— Mamusiu, mamusiu gdzie jesteś?!

— Mama zaraz przyjdzie, poszła do sklepu Kasiu. Ja z tobą posiedzę. Ponieważ byliśmy zaprzyjaźnieni, dziewczynka dała się uspokoić. Porozmawialiśmy chwilę i zasnęła. Siedziałem może godzinę przeglądając gazety, potem na palcach, cicho wymknąłem się do swego pokoju. Pani Basi jeszcze nie było.

•

Nazajutrz przy śniadaniu okazało się, że przy naszym stoliku brakuje „kardiologa".

— Na pewno wezwali go do szczególnego przypadku, powiedział sąsiad, oficjalnie już przez wszystkich tytułowany „panie doktorze". Kelnerka zdradziła nam, iż nieszczęsny krawiec opuścił rano pensjonat.

Odezwał się starosta turnusu. W stołówce ucichły szmery rozmów i pobrzękiwania sztućców. Ciekawe, co znowu ten dowcipniś wymyślił?

— Którejś z pań wiaterek porwał z okna to cudeńko, oznajmił triumfalnie po krótkim wstępie nasz Maniuś-przystojniak powiewając leciutko trzymanymi w ręku koronkowymi majteczkami.

Gruchnął śmiech.

— A może nie wiatr i nie z okna, gubił się głośno w domysłach następny dowcipniś. Na sali wrzało. Panie się oburzały, panowie śmieli się w głos.

•

W piątek przy obiedzie bomba wybuchła. Coś szeptano. Zauważyłem, że w centrum zainteresowania jest dwudziestoletnie, niewinne dziewczę, wiotkie jak trzcina, które zajmowało stolik z mamą w kącie sali. Ponieważ mój doktor również się podśmiewał zerkając w tamtą stronę zagadnąłem go.

— Otóż to nasze dziewczątko chodziło z podtatusiałym belfrem, z drugiego piętra, na dziką plażę. Tam rozkładali wiatrochronik, zostawiali ciuchy i do wody zupełnie nagusieńcy, na pół dnia.

— A mamusia co na to?

— Nic, córeczka załatwiała sobie w ten sposób prawdopodobnie przyjęcie na studia czy coś takiego. Wypatrzyli ich harcerze — kontynuował swoją opowieść doktor. Syn jednego wczasowicza jest z nimi na obozie. On to szepnął tatusiowi nowinę. Już od kilku dni męska połowa turnusu biegała podpatrywać naszą parkę. Dzisiaj harcerze zepsuli zabawę. Usiedli na brzegu przy rzeczach i czekali aż wyjdą. Przetrzymali ich w wodzie dość długo. Wreszcie wyszedł on, zasłaniając się rękoma gnał po ręcznik dla swojej wybranki. Wychodzili przy akompaniamencie śmiechu dzieciaków. Ale ręczę panu, że mieli więcej widzów.

Mamusia z córeczką właśnie opuszczały stołówkę odprowadzane spojrzeniami wczasowiczów. Nie przyjdą już chyba na kolację. Znikną jak nasz „kardiolog". Do końca turnusu zostało już niewiele.

•

Pociąg hamuje. Niosę walizkę pani Basi. Pan Kazimierz wyjechał wcześniej. Kasia tuli w ramionach swojego misia. Na peronie czeka tatuś z kwiatami. Pani Basia rozpromieniona wita się z mężem. Kasia szczebiocze wesoło, tańczy potrząsając misiem. Idylla rodzinna.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt 90-950 i 90-102. Telefony 652 44 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1926, R-11, Nr indeksu 26762.